

WIEŚCI z POLSKI

ROK V Nr. 7-8 LIPIEC-SIERPIEŃ 1932

Stowarzyszenie pomocy emigrantom pod nazwą:

„OPIEKA POLSKA NAD RODAKAMI NA OBCZYŹNIE"

ZARZĄD GŁÓWNY: Warszawa, Krak.-Przedm. 6, m. 11a. Tel. 690-54. Konto P.K.O. Nr. 15.235

OKRĘGI I ODDZIAŁY KRAJOWE „OPIEKI POLSKIEJ":

OKRĘG I ŚRODKOWY „OPIEKI POLSKIEJ"

ZARZĄD OKRĘGU I ŚRODKOWEGO — Zarząd Główny Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 6. m. 11a. Tel. 690-54 Konto P. K. O. Nr. 15.326

Zarządy Oddziałów:

1. **Oddział w Warszawie**: Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 6 m. 11a. Tel. 690-54. —
2. „ **Płocku**, ulica Kolegjalna 1, m. 2. (Prezes W. Kulesza).
3. „ **Łodzi**, ulica Moniuszki 11. (Prezes Wanda Ładzina).
4. „ **Radomsku**, ul. Reymonta 2. (Sekretarka Marja Dobrzelewska).
5. „ **Dąbrowie - Górniczej**, ulica Sobieskiego 6 (Prezes Adwokat R. Morgulec).
6. „ **Radomiu**, ul. Lubelska 36.
7. „ **Lublinie**, ul. Spokojna 1, (Dr. Bryła).
8. „ **Łomży**, ul. Nowogrodzka 28,
9. „ **Brześciu n. Bugiem**, ulica 3-go Maja Nr. 1 Plebanja.
10. „ **Wilnie**, ul. Orzeszkowej. 11.
    Biuro Informacyjne i Pomocy Emigrantom: ul. Subocz 20.
11. „ **Gdyni** — (prezes inż. Legowski).

OKRĘG II POŁUDNIOWY „OPIEKI POLSKIEJ"

ZARZĄD OKRĘGU II POŁUDNIOWEGO — Lwów Wiśniowieckich 4, II p. Tel. 86-15. — P. K. O. Nr. 154-486.

Zarządy Oddziałów:

1. **Oddział we Lwowie**. Wiśniowieckich 4, II p. Tel. 86-15 Konto P. K. O. Nr. 153-701.
   Biuro Informacyjne i Pomocy Emigrantom we Lwowie ul. Wiśniowieckich 4 tel. 86-15.
2. **Oddział w Borysławiu**, skrzynka pocz. 117 (p. Markowska)
3. „ **Drohobyczu**, starostwo Drohobycz.
4. „ **Przemyślu**, Starostwo.
5. „ **Samborze**, Trybunalska 21.
   Sekretarjat Pomocy Emigrantom (tamże).
6. „ **Tarnopolu**, ulica Kopernika 6, Tel. 78. — Konto P. K. O. Mr. 410.132.
   Biuro Informacyjne i Pomocy Emigrantom (tamże)
7. „ **Czortkowie**, Wydział Powiatowy. (Prezes L. Glodt).
8. „ **Trembowli**, (Prezes Jan Turski).
9. „ **Złoczowie**, ulica Podwójcie 21, (naprzeciw Pow. Kom. Policji) p. Uranowicz.
   Sekretarjat Pomocy Emigrantom (tamże).
10. „ **Stanisławowie**, ul. 3-go Maja 30. (dom T. S. L.)
    Sekretarjat Pomocy Emigrantom (tamże)
11. „ **Krakowie**, ulica Sienna 5, parter. (Prezes I. Niesiołowski), Konto P.K.O. Nr 410.262
    Biuro Informacyjne Pomocy Emigrantom, ul. Lubelska 27, (Ekspozytura Urz. Em).

OKRĘG III ZACHODNI „OPIEKI POLSKIEJ"

ZARZĄD OKRĘGU III ZACHODNIEGO — Poznań ulica Wały Zygmunta Starego 9. Konto P. K. O. Nr. 212.756.

Zarządy Oddziałów:

1. **Oddział w Baszkowie**, pow krotoszyński, (Prezes ks. Buchwald).
2. „ **Bydgoszczy**, Bydgoszcz ulica Dworcowa 66. (Prezes Józef Zawitaj)
3. „ **Chodzieży**, pow. chodzieski, (Prezes ks. Kurpisz).
4. „ **Cieszynie**, pow. odolanowski, (Prezes J. Elsner).
5. „ **Drawsku**, pow. czarnkowski, (Prezes Ks. Prob Lukrawski.)
6. „ **Gnieźnie**, pow. gnieźnieński. (Prezes ks. Dziekan Zabłocki).
7. „ **Gostyniu**, pow. gostyński, (Prezes Ks. Schreybrowski).
8. „ **Golinie Kościelnej**, pow. jarociński (w organizacji). (Prezes Ks. Powel).
9. „ **Grodzisku**, pow. grodziski. (Prezes Ks. Kruszka.
10. „ **Inowrocławiu**, pow. inowrocławski. (Prezes Ks. Radca Kubski).
11. „ **Jankowie Zaleśnym**, pow. odolanowski. (Prezes Ks. Mielke).
12. „ **Kamionnej**, pow. międzychodzki (w organizacji). (Prezes Ks. Braun).
13. „ **Kępnie**, pow. kępiński, (Prezes Starosta Kasprzak).
14. „ **Kobylinie**, pow. krotoszyński, (Prezes Stanisław Tyczyński).
15. „ **Kościanie**, pow. kościański, (Prezes Mecenas Fiszbach).
16. „ **Kotłowie**, pow. ostrzeszowski (Prezes Franc. Kubicki).
17. „ **Koźminie**, pow koźmiński, Prezes dyr. Marciniec).
18. „ **Krotoszynie**, pow. krotoszyński, (Prezes ks. Proboszcz St. Małecki).
19. „ **Lesznie**, pow leszczyński, (Prezes ks. Proboszcz St. Jankiewicz).
20. „ **Lubaszu**, pow. czarnkowski, (Prezes ks. Dziekan Rozenberg).
21. „ **Łobżenicy**, pow. wyrzyski, (Prezes Reinholz)
22. „ **Mącznikach**, pow. średzki, Prezes ks. Proboszcz Rochalski).
23. „ **Miasteczku**, pow. wyrzyski, (Prezes ks. Proboszcz Niedbał).
24. „ **Miedziuchowie**, pow. nowotomyski (Prezes Stefan Sobera).
25. „ **Mikstacie**, pow ostrzeszowski, (Prezes ks. Proboszcz Rosochowicz).
26. „ **Mogilnie**, pow. mogileński, (Prezes ks. Proboszcz Brodowski)
27. „ **Mórkowie**, pow. leszczyński, (Prezes ks. Stannek).
28. „ **Nowym Tomyślu**, pow. Nowotomyski, (Prezes ks. Proboszcz Kuliszak)
29. „ **Odolanowie**, pow. odolanowski, (Prezes dyr Cybichowski).

ROK V WARSZAWA, 1932. LIPIEC—SIERPIEŃ Nr. 7-8

WIEŚCI Z POLSKI

MIESIĘCZNIK DLA POLAKÓW NA OBCZYŹNIE
ORGAN STOWARZYSZENIA "OPIEKA POLSKA NAD RODAKAMI NA OBCZYŹNIE"



Biske Karol *Pogodny letni dzień.*



Teodor Ziomek

Zagroda wiejska

LEOPOLD STAFF.

POŁUDNIE

Bielona, nizka chata kryta słomą
Stoi pod starej gruszy pieczą chromą
I dymi modrym z komina obłokiem
Wśród ciężkich sadów, pod słońcem wysokiem.

Południe skwarne leży wkrąg na łanach:
Sierpy bezczynne lśnią przy pustych dzbanach;
Skryci w błękitny cień żółtej kopicy,
Snem południowym drzemią robotnicy.

Bogate lato polskie ciężko dyszy
Pośród brzemiennej, nieruchomej ciszy,
Karki pod jarzmo gotują już woły.
A od nadziei pękają stodoły.

Wierzby-kumoszki, dróg siwe służebne,
Czują się jakoś smętnie niepotrzebne,
Nudząc się w ciszy, że nie mają kogo
W południe, do wsi odprowadzić drogą.

Płótna bielące się w dali na trawie
Pasą się, niby owce na murawie,
A na nich wiejskie, gospodarskie słońce
Pasie się cicho jak na białej łące.

KONCERT PADEREWSKIEGO

W dniu 26 czerwca b. r. nie było chyba w Polsce ani jednego radjo-aparatu przy którem nie siedziałoby grono osób skupionych i przejętych magicznem słowami: Koncert Paderewskiego! Pierwszy raz przepiękna gra mistrza była transmitowana na fali z sali teatru Champs Elysées w Paryżu, gdzie odbywał się koncert. Tam zaś sala wypełniona była po brzegi ak do ostatnich miejsc nawet stojących. W loży środkowej pierwszego piętra zasiadła królowa Belgji, która specjalnie na ten koncert przyjechała, obok niej Prezydent Francji Lebrun, dalej korpus dyplomatyczny i elita społeczeństwa francuskiego.

K. LASOCKI



Motyw z parku Paderewskiego w Warszawie

Gdy Paderewski ukazał się na estradzie królowa dała pierwsza hasło do powstania, za nią powstał Prezydent z żoną potem cała publiczność i zaczęła się wielka burzliwa owacja, którą Paderewski usiłował przerwać zasiadając trzykrotnie do fortepianu wśród ogłuszających oklasków.

Koncert całkowicie wypełniony muzyką Chopina był jednym triumfem od początku do końca. Publiczność trzęsła się ze wzruszenia oklaskując w Paderewskim niezrównanego muzyka i wielkiego syna Polski której zmartwychwstanie jest tak ściśle z nazwiskiem Paderewskiego złączone. Rodacy nasi z za oceanu najlepiej pamiętają tę niestrudzoną działalność, jaką Paderewski w czasie wielkiej wojny rozwijał w Ameryce i jego przyjaźń z prezydentem Wilsonem. Wynikiem tej przyjaźni było, iż Polska tak gorącego obrońcę swej sprawy znalazła w prezydencie Wilsonie na konferencji pokojowej w Paryżu. Dziś kiedy się doczekał już wolnej ojczyzny, Paderewski ogromnym swym talentem i czarem swej muzyki wsławia imię Polski „Niech żyje prezydent Paderewski!, Niech żyje Polska!" — wołały w Paryżu rozentuzjazmowane tłumy. A myśmy tu z dumą słuchali echa tego zachwytu i z rozkoszą wsłuchiwaliśmy się w płynące eterem dźwięki, które uderzały nietylko w ton rozlewności fizycznej ale i ton hartu.

„Naprawdę, jak pisał Felicjan Szopski — ta pieśń o mocy, o potędze, którą nam wysłał Paderewski jest nam może najdroższą i najcenniejszą. Bo jeżeli odtworzenie muzyki Chopina mieliśmy nieraz, może nie takie, ale pełne uroku w odtwórczości innych artystów z plejady największych i najsławniejszych to nikt na świecie nie zagrał tak na strunie wielkości w Chopinie utajonej, wielkości odpowiadającej najtęższym pianistom i właściwościom narodu.

Wielkiemu mistrzowi ślemy za to dzięki z głębi serc naszych płynące.

Odsłonięcie pomnika pułkownika Edwarda House'a w Warszawie

Nie przebrzmiały jeszcze echa wspaniałego koncertu paryskiego mistrza Ignacego Paderewskiego a znów nazwisko jego znalazło się na ustach mieszkańców Warszawy. Dnia 4 lipca w dzień narodowego „Święta Amerykańskiego" odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika pułk. Hous'a. Pomnik ten ufundował Ingnacy Paderewski dla uczczenia niespożytych dla Polski zasług tego amerykańskiego męża stanu.



ODSŁONIĘCIE POMNIKA PUŁKOWNIKA EDWARDA HOUSE'A W WARSZAWIE.

Pomnik umieszczono w pięknym parku im. Ign. Paderewskiego, jest on dziełem polskiego artysty rzeźbiarza Blacka.

O godz. 11-ej przy pomniku zgrupowali się: w zastępstwie nieobecnego w Warszawie ambasadora Stanów Zjedn. A. P. chargé d'affaires L. Crosby, ataché wojskowy Yeager, sekretarze ambasady pp. Flack i Amstrong oraz konsul jeneralny p. Huddle, dalej prezydent miasta inż. Zyg. Słomiński i wiceprezydent Borzęcki, liczna delegacja przedstawicieli rady miejskiej z prezesem Klubu narodowego prof. Staniszkisem na czele. Nie brakowało też licznych delegacji od organizacji społecznych i artystycznych, które zajęły miejsce w dużem półkolu, jakie się utworzyło przed pomnikiem. Z ramienia władz państwowych obecny był p. komisarz rządu m. st. Warszawy Jaroszewicz.

Po obu stronach pomnika ustawiły się poczty honorowe ze sztandarami hallerczyków i dowborczyków.

Uroczystość otworzył Prezydent miasta Słomiński dłuższem przemówieniem w którym podniósł zasługi położone przez pułk. House'a dla sprawy polskiej i idei pokoju na świecie. Zakończył je zaś okrzykiem na cześć Ameryki.

Z kolei przemawiał w imieniu ambasady Stanów Zjednoczonych A. P. chargé d'affeires L. Crosby, podkreślając przyjaźń Ameryki i Polski i dziękując za postawienie w Polsce pomników Wilsonowi i House'owi.

Orkiestra wykonała hymn amerykański i polski. Następnie odczytano depeszę od Paderewskiego i osobisty jego sekretarz p. Sylwin Strakacz odczytał pismo mistrza treści następującej:

W pierwszej połowie stycznia 1919 roku, podczas uroczystego przyjęcia, jakiem ówczesne Prezydjum oraz Rada Miejska naszej drogiej stolicy zaszczycić mię raczyły, wygłosiłem dość długie przemówienie. Wspominając o zabiegach ludzi, którym poza granicami ojczyzny przypadło o jej wolność walczyć, oświadczyłem, że, jeżeli sprawa polska uważana ogólnie za rzecz dotyczącą polityki wewnętrznej Rosji, Niemiec i Austrji została uznana, jako zagadnienie międzynarodowe, to tylko dzięki ś. p. Prezydentowi Wilsonowi za pośrednictwem i przy współpracy jego przyjaciela i doradcy Edwarda House'a. Dodałem przytem, że wolna Polska powinna pomnikami uczcić tę wielką historyczną względem niej zasługę.

Zebrani słuchacze, wśród których było wielu najpoważniejszych obywateli stolicy i kraju, przyjęli me słowa z wruszającym zapałem. Ozwały się gromkie okrzyki: „postawimy pomniki, postawimy!"

Niejeden z obecnych zapewne dziś jeszcze pamięta tę piękną chwilę.

Upłynęły lata. Społeczeństwo nasze, uczuciowe a rzetelne, nie zapomniało wprawdzie o żadnym swym długu, ale zubożało przez wojnę i pochłonięte mozolną gospodarczą odbudową kraju, nie mogła się zdobyć na stawianie pomników. To, czego Naród sam spełnić nie może, powinno być spełnione przez jego wierne sługi.

Jako Narodu sługa, śmiem prosić Was, Czcigodny Panie Prezydencie oraz Dostojną Radę Miejską naszej

Stolicy o objęcie we wieczyste władanie tego dzieła polskiego rzeźbiarza i roztoczenie nad niem troskliwej opieki. Przedstawia ono cieleśne kształty szlachetnego charakteru i wzniosłej duszy wielkiego przyjaciela i rzecznika sprawy polskiej.

Edward Mandell House oddał Polsce nieocenione usługi. Za jego pośrednictwem i dzięki jego poparciu znalazły się w nieśmiertelnem orędziu ś. p. Prezydenta Wilsona z dnia 22-go stycznia 1917 r. pamiętne słowa o konieczności odbudowania Polski.

Dzięki jego pomocy otrzymaliśmśy pozwolenie na utworzenie w Stanach Zjednoczonych Polskiej Armji we Francji, Armji, która nam zapewniła miejsce na konferencji pokojowej.

Jemu również zawdzięczamy, że, mimo niezliczone przeszkody i trudności, Rząd Stanów Zjednoczonych zgodził się na uznanie Polskiego Komitetu Narodowego, który tak dobrze zasłużył się Ojczyźnie.

Dla przyszłych pokoleń obojętnem będzie, czyim kosztem powstało to świadectwo polskiej wdzięczności: społeczeństwa, czy też jednostki. Wystarczy, iż zrodziło je polskie serce.

J. WEYSSENHOF

POD PIORUNAMI

Poniższe opowiadanie, skreślone mistrzowską ręką wielkiego pisarza, którego jubileusz niedawno święciliśmy, przedstawia przykład — jeden z wielu — ukrytej a bohaterskiej walki o wiarę ludu unickiego na Podlasiu, nawracanego na prawosławie gwałtem i prześladowaniem przez zaborczy rząd rosyjski. Z pełną umiaru, pogodną finezją narysowany jest typ polskiego księdza — typ bynajmniej nie męczennika i bohatera — raczej wesołego wiejskiego proboszcza, amatora koni, gospodarstwa i biesiad przyjacielskich. Gdy jednak chodzi o spełnienie kapłańskiego i obywatelskiego obowiązku, chociażby pod grozą utraty ukochanej parafji, może nawet więzienia i zesłania na Sybir, zwalcza ów ksiądz swoje czysto ludzkie słabości — strach przed burzą, zamiłowanie do spokojnego, wygodnego życia, i nie waha się udzielać sakramentów ślubu i chrztu świętego „pod piorunami", w ciemną noc i deszcz ulewny, dzielnym bojownikom o wiarę, chłopom podlaskim, którzy ukrywając się przed okiem rosyjskich żandarmów, garną się z ufnością do jego samotnej, przygranicznej plebanji.

Przyp. Redakcji.

Ksiądz Wikliński zdążył przed nocą powrócić z miasta do swej wesołej plebanji, pił herbatę i opowiadał Marcinowej o wyprawie:

— Kasztankę przyprowadziłem napowrót, bo na całym jarmarku nie było takiej rysistej szkapy. Dobrać do pary ani podobieństwa — sprzedać szkoda. Zato bryczkę zamieniłem kapitalnie.

— Jedno z drugiem tyle, że ksiądz proboszcz dopłacił?

— A jakżebyście chcieli Marcinowo, żeby mi kto za rozkolataną bryczkę dał nową i jeszcze co dodał?

— Nie mówię — tylko, że stara była pakowniejsza i na wiosnę trzydzieści rubli za naprawę kosztowała. Kasztanka także, na owsie trzymana przez cały rok, prócz dwóch cugowych, to ile kosztuje? jak jegomość myśli?

— Dalibyście pokój, Marcinowo. Proboszcz musi dbać o zewnętrzną okazałość, jako urzędnik boży. — A te sucharki już czuć szafą — zobaczcie...

Marcinowa, jędrna i czysta kobieta czterdziestoletnia zaczerwieniła się po uszy. Wzięła ze stołu koszyk z pieczywem, zbliżyła go do technicznie zaostrzonego nosa i rzekła:

— Szafą nie może być czuć, bo szafa czysta, jak szkło; ale tem pudełkiem od pani Drozdowskiej, co to przyszło z bielizną kościelną. Jegomość kazał schować, że niby drzewiane i zamczyste, a to ci pachnie jakiemś piżmem i perfonuje, gdzie tylko położyć.

— Postawcie pudełko na szafie —uśmiechnął się proboszcz.

— A no, można...

Marcinowa wyszła z pokoju, ażeby natychmiast przeprowadzić to ulepszenie w gospodarstwie, urządzonem już tak wzorowo, że fałszywy zapach raził w niem, jak chybienie jednej nuty w zespole koncertu.

A ksiądz pił pachnącą herbatę i zgodnie z nią wonie parnej nocy letniej, wchodzące przez okna otwarte. Plebanja stała na górze, okna saloniku wyzierały w wyższe warstwy powietrzne, w dziedzinę lotu ptaka, teraz pustą i tajemniczą. Noc oddychała przez sen krótkim, gorącym poświstem.

Gospodyni powróciła w usposobieniu mściwem za to, że ją przekonano o maleńką usterkę w jej mistrzowstwie. Ale pozory zachowała dobroduszne.

— A w plebanji, kiedy ksiądz bawił na jarmarku, mieliśmy gości. Żandarmy przyjechały.

— Znowu?! — skrzywił się ksiądz, jakby muchę połknął z herbatą. — Czegóż chcieli?

— A bo ja wiem!... powiadali, że w tych dniach powrócą.

Spostrzegłszy jednak, że nowina podziałała na proboszcza przygnębiająco, aż odłożył smacznie napoczęty skrzydlik wędliny, Marcinowa zapomniało odrazu o swej zemście osobistej i jęła uspokajać:

— Proszę jegomości, ludzie, jak inni na służbie. Kręcą się tylko, żeby pokazać, że coś robią. Dałam im herbaty — to dziękowali, jak zwyczajni podróżni.

— Pytali o co, czy jak?

— Mówili tylko, że do metryk kościelnych mają interes.

— Metryki mam w zupełnym porządku; żadnych tam nielegalności... — pomyślał ksiądz przez chwilę, rozpogodził twarz i dojadł skrzydlika wędliny.

Marcinowa patrzyła już z niepodzielną lubością na swego różowego ukarmionego proboszcza, ale, myśląc o zaperfumowanych sucharkach, tłómaczyła się:

— W tym roku, proszę jegomości, każda rzecz mocniejszy z siebie zapach wydaje. Ciągle upały, ciągłe burze. I teraz nadchodzi.

— Ej, gadacie... — skrzywił się znowu ksiądz — dzień był pogodny, kiedy powracałem, a teraz i wietrzyk się obudził.

— Niechno jegomość wyjrzy, jaka tam chmura leci od zachodu.

Proboszcz zbliżył się śpiesznie do okna i spojrzał. Rozległa ciemność gęstniała ku zachodowi, kłębiła się stamtąd dymna ścigająca ostatnie gwiazdy na niebie. I złowrogi śmiech błyskawicy rozproszył wszelką wątpliwość.

Ksiądz cofnął się nerwowo i przeżegnał się.

— Zamykać okna, zamykać! — zawołał głosem złamanym, nieprzystojnym silnemu, trzydziestokilkoletniemu mężczyźnie.

— Zrobi się, zrobi; jeszcze daleko... — odrzekła Marcinowa bez najmniejszego wzruszenia.

I, zamknąwszy dwa okna w salonie, wyszła, aby dojrzeć innych otworów domu.

Ksiądz, chodząc niespokojnie, zezował ku oknom, — a nuż przejdzie bokiem — ale ciche strachy błyskawic ściskały go za serce coraz częściej, a grzmot począł iść z daleka ciągły, jak dudnienie setnych wozów po brukach, przerywane niepokojącym łomotem.

Szła burza piorunowa. Z odnawianych co chwila błyskawic czynił się dzień siny, i w tej zorzy trwożnej widać było daleko kraj, bo dom stał na wzgórzu wyższem jeszcze, niż kościelne, nad urwiskiem wąwozu. Wąwóz rozszerzał się w ulicę wiejską, osypaną po obu stokach ciemnemi chatami, niby stadem skulonych zwierząt, które, spełzając z gór do dna wąwozu, przywarowały na różnych wysokościach. Okolica była górzysta, pograniczna z Galicją.

Plebanja gotowała się, jak do odparcia oblężenia. Marcinowa powróciła, niosąc już, przy kluczach, główne narzędzie obrony, dzwoneczek loretański — i czysty jego głosik, zażegnujący burzę, mieszał się do fałszywego pobrzęku żelastwa. Gospodyni, krzątając się tak, zdawała się zajętą czemś ważnem, mądrem i niechybnem, czemś także wyraźnie wesołem.

Poskoczyła ku oknu:

— Niechno jegomość patrzy, jak te chałupy ślepkami do nas świerkają, kiedy się błyśnie! A lipy przy kościele to niby śrybne! Już to nasza wieś najcudniej wygląda w nocy podczas burzy — jak luminacja!

Ksiądz proboszcz był wręcz przeciwnego zdania:

— Nie gadałaby płupstw Marcinowa! Burza jest zawsze gniewem Bożym. — A drzwi główne zamknięte? i od podwórza? niema przeciągu w sieni?

— Zamknięte wszystko, proszę jegomości, nawet brama od obejścia. Żeby i do chorego prosili, niktby do nas przystępu nie znalazł, jeszcze w tym łoskocie. — O, znowu...

Ksiądz wzdrygal się przy każdym błysku i grzmocie, a nie chcąc ciągle się żegnać, kreślił ręką, zatkniętą za sutannę, małe krzyżyki na wysokości serca. Marcinowa patrzyła na niego dobrotliwie, z odcieniem ironii. Ksiądz Wikliński poszukał jakiegoś antidotum na swój fizyczny wstręt do burzy, którego się wstydził, lecz nie mógł opanować.

Spróbował gniewać się:

Bo też zbudowali tę plebanję jakby na pastwę ognia niebieskiego! Żeby choć dach blaszany, żeby piorunochron! Ale to gont — i najwyższa góra!

— Ej, księże proboszczu dobrodzieju, Pan Bóg strzeże już lat kilka, nie spuści i dzisiaj kary na nas — bo i za co?

Zęby szczerzyła Marcinowa, wziąwszy się pod boki, jakby chciała wypomnieć księdzu niedowiarstwa, czy zbytek cnoty.

— No, no, nie wtrącać się do wyroków Bożych...

Tymczasem deszcz, głaszczący dotąd pluskiem ostrzegawczym zakroplone szyby, zaczął się wzmagać i siec, napełniał coraz głośniej przerwy między porykami gromu i przesłaniał błyskawiczne zjawy szkłem płynnem, mętno-sinem, zaplakanem rozpacznie. Aż sam, jak grzmot deszcz lunął na dachy i na odpryskujące igłami kałuż ziemię. Piorunowe łono chmur przypełzło do zenitu, biło jednocześnie hukiem i błyskiem, wisiało nad samym domem.

— Niech Marcinowa... niech Marcinowa idzie do siebie— ja się... pomodlę.

Ksiądz ukląkł przed łóżkiem w sypialnym pokoju zaczął głośno odmawiać modlitwę, której prawie nie łowił uchem poprzez huk burzy, nie rozumiał. Widział przed sobą na ścianie kobierczyk z tygrysem, na nim krucyfiks — myśli ścigały mu się sprzecznie po głowie:

— Bóg mą ucieczką i mocą. — Gdyby mnie śmierć zaskoczyła tutaj, tak wcześnie! leżałbym pod tym tygrysem. — Albo ogień, spalenie — palenie ciał! — Boże, bądź miłościw! Ale dlaczego ja się tak strasznie boję?...

Trzask nagły, zdawało się dotykalny, rzucił go półpostacią na łóżko. Krzyknął: Boże! — i czekał przez chwilę, aż mu przyszła świadomość, że nic go nie boli, że tygrys wisi na ścianie i pokój w żadnem miejscu nie poniósł szwanku.

Drugie uderzenie piorunu! — Kiedyż to ustanie?! Gdzieby uciec, aby nie widzieć, nie słyszeć? — Biedny ksiądz chwycił poduszkę, nakrył nią głowę, wcisnął w nią uszy, radby był wleźć cały pod ten, wstydliwy, babski piorunochron.

Długo tak klęczał skulony i nakryty, miarkując, czy burza się oddala... — Oddala się istotnie, nie było już tych uderzeń obuchem w głowę, których poczuł parę nawet przez puchy, niby pękanie olbrzymich purchawek. Wychylił głowę. Grzmot gospodarował po niebie, ale już dalej — ulewa tylko nie sfolgowała.

Ale od kilku chwil słychać było hałas inny, ludzki i blizki — łomotanie do drzwi wchodowych.

Ksiądz zerwał się na nogi.

— Naturalnie! dom się pali, a ja tu, jak głupi... No, dom parterowy.

Podążył do sieni i zastał tam Marcinową parlamentującą z kimś przez drzwi zamknięte.

Co się dzieje?!

— A to jakieś desperaty, proszę jegomości, na taką pogodę...

— Nie pali się?

— Co się ma palić?! Ludzie jakieś podróżne...

Ksiądz Wikliński przemówił przez drzwi, groźnie:

— Czego tu chcecie?

Głosy z za drzwi, męski i kobiecy, zmieszane:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — krześcijany-katoliki, dopraszamy się łaski — niech nas piorun spali, jeżeli idziemy ze złą myślą.

Ksiądz porozumiał się jeszcze oczyma z Marcinową Niema rady — otworzyć trzeba.

I otworzył.

Nie weszli zaraz, kłaniali się jeszcze za progiem, pod ulewą, młody chłop i dziewczyna uśmiechnięta, oboje tak przemokli, że woda ociekała z nich, jak z posągów, stojących wśród fontanny.

— Ruszcie się przecie, wejdźcie! — zawołał szorstko proboszcz i zamknął starannie drzwi, gdy ta para topielców weszła do sieni, zalewając podłogę.

— Czego wam trzeba? do chorego?

— Ej nie, proszę księdza proboszcza — odpowiedział chłop — nasza sprawa osobliwa.

— Jakżeście tu weszli, kiedy brama od obejścia zamknięta?

— Od wąwozu wleźliźmy my pod górę, a potem bez plot.

— Dziewczyna także?

— Podsadziłem — zaśmiał się chłop, i dziewczyna, zachichotała, kryjąc oczy odwróconą dłonią.

— No, idźcie się trochę osuszyć do kuchni.

Marcinowa nabrała sympatji do młodych, widząc ich dobre twarze i rosłe postacie, piękne w tej nagości, ledwie osłoniętej i obmytej całą ulewą niebios.

— Jeżeli ksiądz proboszcz pozwoli, to ja dam chłopu do przebrania trochę tego przyodziewku, co to po drwalu zostało. A już z dziewczyną sobie poradzę.

— Dajcie, Marcinowo.

Podróżni suszyli się i przebierali w kuchni, a ksiądz znowu chodził po salonie, stwierdzając z radością stopniowe oddalanie się burzy która nie wyrządziła żadnych widocznych spustoszeń. Błyskawice, teraz już weselsze, ukazywały za oknami wieś na swojem miejscu i kościół między lipami, i nawet łuny nie było na widnokręgu.

— Dobroczynna ulewa — myślał proboszcz, głęboko wzdychając od ulgi. — Wstyd tak się bać rozhukanego żywiołu, wstyd tembardziej księdzu, który na śmierć zawsze być powinien gotów... Ale świat jest piękny, i ksiądz jest człowiekiem przywiązanym do ziemi. Tyle jeszcze duchownych i świeckich projektów ma się przed sobą.

— Wiecie wy, coby mnie za to spotkało, gdybym wam dał ślub? Sybir, ni mniej ni więcej.

— Wiemy, proszę łaski księdza proboszcza. I nam także. Ale jako noc jest, że psa na dwór nie wypędzi, to nikto o tem wiedzieć nie potrafi.

Ksiądz Wikliński wypraszał się:

— Bójcie się Boga, ludzie! Szukajcie unickiego kapłana. Ja tu przecie swoim owieczkom potrzebny.

— Do Galicji teraz już trudno, tutaj popy po cerkwiach nie nasze. A my owce Boże też jesteśmy — i nam pilno.

Ksiądz krzywił się, cmokał, chodził po pokoju. Młoda zaś para stała, jak posąg podwójny mocnej i niezwruszonej woli.

— Jakże chcecie tutaj?... nawet świadka niema.

— To i przez świadka. Żeby tylko duchowna ręka nas związała.

Teodor Ziomek



Obłok

Zapomniał prawie o swych nocnych gościach, gdy się zjawili, pięknie przebrani w sukmanę drwala i kieckę Marcinowej. Młodzi byli, dorodni i uroczyści, jakby szli na gody. Trzymali się za ręce.

— Tęgi z was parobek — uśmiechnął się ksiądz. — Jak się nazywacie?

— Hryć Lewczuk, dopraszam się łaski.

— A dziewucha?

— Paraska Kuncewiczówna.

— To wy może... — zaczął ksiądz i odstąpił krok w tył, jak od zapowietrzonych, rozwarł usta i oglądał bacznie podróżnych, choć już po odmianach ubioru nie mógł zmiarkować, skąd pochodzą, bo suknie nosili nie swoje.

Lewczuk zrozumiał, pokłonił się w pas, zarówno jak i towarzyszka. Stanął potem prosto, odetchnął i dobitnie, poważnym głosem uczynił wyznanie:

— A tak już katolicy jesteśmy uniackiego obrządku.

— I przychodzicie do mnie, łacińskiego proboszcza? po co?

— My w postanowieniu będący Lewczuk z Kuncewiczówną, szli do Galicji ślub brać od swojego księdza. Tylko, że przewodnika, za którym my szli, żandarmy przy granicy ułapiły, to my uciekli tu do wsi, do znajomych. Ci nam powiedali, jako ksiądz tu dobry, według zakonu Bożego. To my na noc się niby do domu wybrali, a swoje postanowienie przed znajomymi zataili. I kiedy Pan Bóg zesłał burzę wszystko kryjącą, my tu przyszli do nóg się pokłonić ojcu duchownemu, żeby nas ślubem świętym połączył, jako polska wiara jedna jest.

Ksiądz zbladł, jak chustka, i odezwał się cicho, jakby się bał podsłuchania czyjegoś w tej samotni i podczas burzy:

Ksiądz stanął, popatrzył długo w twarze młodych, po żołniersku przed nim wyprostowanych. Potem oczy zasłonił ręką, poszedł wolno do swej sypialni i drzwi zamknął za sobą.

Hryć i Paraska pozostali sami, spojrzeli po sobie i rozmówili się taką tylko wymianą słów:

— A szczo, da on?

— Każe, da.

Stali na swych miejscach, milcząc i nie patrząc już nawet na siebie. Spotykali się tylko w marzeniu wspólnem. Stanęła im przed oczyma cerkiew ich stara „przemieniona", i odnaleźli w pamięci głos dawnego unickiego księdza, dzisiaj Bóg wie gdzie wywiezionego, i śpiewy dyaków niegdyś słyszane, buchające chórem weselnych dyszkantów, ogarniętych zadumą basów. I widzieli się w swych strojach ruskich, ojcowskich, jak przystało dzieciom gospodarskim.

A tutaj pokój cudzy i nieskończona burza zagląda w okna widmowemi ślepiami błyskawic.

Tylko nie zdawali sobie sprawy, że więksi są dzisiaj, niż mogliby być za szczęśliwych czasów swobody, że serca mają zahartowane w prześladowaniu i w stateczności, godniejsze, niż kiedykolwiek, sakramentu.

Otworzyły się drzwi do sypialni. Tam, na stole, nakrytym białym obrusem, stał krucyfks między dwiema świecami. Ksiądz Wikliński w komży i w stule wzywał ręką nowożeńców, aby przeszli do przystrojonego na obrządek pokoju.

Hryć i Paraska ucieszyli się, że choć tyle zachodu i ozdoby było przy ich biednym ślubie, otoczonym grozą zakazów i żywiołów.

Przez parę tygodni po tej nocnej przygodzie ksiądz Wikliński żył w nieustannej trwodze oczekiwania. Była to dziwna

trwoga fizyczna, połączona z zadowoleniem sumienia, które aprobowało spełniony niebezpieczny obowiązek — niepokój i spokój zarazem, stan duszy wyjątkowy, wojenny.

Młody proboszcz, choć nie zaniedbujący obowiązków duchownych, miał dużo przyzwyczajeń świeckich. Znajomi cenili go także jako człowieka i towarzysza, skąd okazje wizyt i zebrań, to na obiadek, to na partję winta. Ksiądz lubił też konie, ogrodnictwo, pasiekę, lubił nawet polowanie w towarzystwie, i to „cum clangore". Zagospodarował się także kapitalnie w swej plebanji i ogrodzie, dbał o nie bardzo, chociaż położone były za blizko do nieba ze względu na burze i pioruny. W domu i w okolicy czul się swojsko, kochał swą parafję nie tylko jako ideę misji katolickiej, lecz jako małą ojczyznę, pełną miłych ludzi, szacownych wygód i przyjemnych widoków.

Związek swój z całym tym światkiem naraził owej nocy na niebezpieczeństwo. Gdyby się wykryło, mógł być usunięty stąd przynajmniej do innej parafji, albo i dużo dalej.

W przewidywaniu takiej możliwości modyfikował niektóre swe projekty. Poco mu dobierać parę do kasztanki, poco i nowa bryczka, skoro to wszystko mogło uledz konfiskacie lub przymusowej sprzedaży? Młodzi Lewczukowie nie zadenuncjonują go z pewnością, Marcinowa poskromi także, przez przywiązanie do księdza, swą gadatliwość; innych świadków, ani dokumentów niema... ale licho nie śpi.

Jakoż w kilka dni po owej burzy nocnej powrócili do plebanji żandarmi.

Ksiądz Wikliński czuł do żandarmów ten sam fizyczny wstręt, co do burzy, nawet gdy nie poczuwal się do żadnego wykroczenia przeciw istniejącym przepisom; tym razem jednak przyjął żandarmów odważniej, chociaż miał powody obawiania się ich poszukiwań.

Gdy minęli, jak tamta burza, gdy upłynęło znowu parę dni spokojnych, ksiądz Wikliński utwierdził sobie w pamięci spostrzeżenie, że burza trafia rzadko piorunem, a żandarmi nie zawsze wszystko wiedzą. Inny zaś, buntowniczy człowiek, który się budził w księdzu, mówił górniej:

— Raz kozie śmierć, raz proboszczowi męczeństwo.

Potrzebował zaś ksiądz Wikliński punktu oparcia dla swej filozofji i wzmożenia nerwów, gdyż prześladowanie Unji było tego roku okrutne, a lato wyjątkowo burzliwe.

Zapaliły się tymi dniami, o milę stąd, stodoły dworskie, od piorunu; widziano w sąsiedniej parafji, jak piorun, okrążywszy ognistą wstęgą wieżę kościelną, strzelił w chałupę znanego złodzieja, figurując cudownie kierunek gniewu Bożego. Ale naszą wieś Bóg dotąd oszczędził. Tylko ulewy położyły ostatnie zboża nie zżęte — nic im nie będzie, bo już dojrzały i lada parę dni pogody, dadzą się wziąć na sierpy — tylko droga wiejska między wzgórzami zmieniła trochę kierunek od ustawicznego rwania burzliwych potoków, które podmyły i węgieł chaty sołtysa, a stary jawor, co rósł już przy wąwozie, runął od wzgórza do wzgórza i leży ponad drogą zielonym mostem. Nawet go sprzątać nie warto, aż w zimie — tak pięknie leży.

W miesiąc po opisanym ślubie znowu burza w nocy przeciągała nad plebanją, ale razy piorunowe były jakieś słabsze, a przynajmniej tak się zdawało księdzu Wiklińskiemu. Z brewjarzem w ręku siedział na krześle, zmuszając się całą siłą woli do myślenia o sprawach nieziemskich. Jednak dużo waty włożył do uszu.

Tak samo burza wysłała naprzód swe grzmiące forpoczty, rozhukane po pagórkach, i swe jaskrawe race, rozświecające kraj, nad którym zawisnąć miała piorunową grozą. Tak samo wkrótce kapela jej triumfalna urosła w zgiełk i płacz ulewny, i główna siła z gromową artylerją przeciągała tuż nad drżącym dachem plebanji.

I znowu pośród największej trwogi rozległo się natarczywe pukanie do drzwi wchodowych.

Ksiądz odrazu poszedł śpiesznie do sieni.

— Kto tam?!

— Niech będzie pochwalony... krześcijany-katoliki...

— A! tego już za wiele! — zawołał proboszcz. I otworzył.

Także para młodych, inna: Harasim Lewczuk i Natałka Konieczna. Ci wybrali się już praktyczniej; nieśli bowiem zamczystą skrzynię z paradnemi sukniami, przeznaczonemi do przebrania się na uroczystość ślubu, na którą liczyli pewnikiem.

— Co to?! co wam strzeliło do głowy przychodzić z tem do mnie po nocy?

— A bo po dniu wolno? — rozdziawił się Harasim.

— Ani w dzień, ani w nocy. Kto wam powiedział, że ja tu śluby daję na plebanji?

— Tak mnie... tak nas poniesło tutaj... niby z tego przeczucia... dopraszamy się łaski księdza proboszcza — jąkał się chłop, zezując na boki.

— A nie kłamać mi przed samym sakramentem! — gromił ksiądz dalej — kto wam powiedział?

Harasim i Natałka upadli do nóg proboszcza, zlewając podłogę strumieniem, niby potokiem łez.

— Rodzony, Hryćko, za przysięgę na zbawienie duszy wydał nam księdza proboszcza...

— No, tak i gadać odrazu... ruszajcie się przebrać...

Aż do późnej jesieni tego roku ksiądz Wikliński połączył ślubami małżeńskiemi osiemnaście par. Wszystkie przychodziły nocą burzliwą lub najciemniejszą, przed nowiem. Pewnej nocy przyszły razem trzy pary. Ksiądz ich sfukał, zawarował sobie, żeby to było po raz ostatni, ale ponieważ już cała szóstka weszła do plebanji, dał trzy śluby, a potem nowożeńców wypuszczał kolejno parami, w różne strony, szepcąc za nimi:

— Roście i rozmnażajcie się...

Sam zaś gotował się już w drogę, będąc przekonany, że prędzej czy później jego działalność zostanie odkryta i ukarana. Miał tego lata u siebie kilka razy żandarmów i raz naczelnika straży ziemskiej, którzy wszelako nie oskarżali go dotąd, zjawiali się tylko jakoś zawsze po nowej recydywie księdza w „zbrodnię" już nałogową.

Ksiądz był już gotów na wszystko. Żegnał się z latem, zapewne ostatniem w tym domu, w tym sadzie; żegnał się ze złotymi kobiercami jesieni, które były tutaj wspaniałe, bogato cieniowane przez wybujałość gruntu i rozłożystość widoków. Żegnał i ludzi: sąsiadów z chat i dworów, wielu przyjaciół pomiędzy nimi, i gospodarną Marcinową, i właściciela folwarku przy wsi, człowieka przyjaznego. A także w swem pożegnalnem rozrzewnieniu odnajdywał wielką część tęsknoty za temi parami młodych, które pobłogosławił na życie uczciwe i utwierdził w nadziei, że Bóg nie zupełnie je opuścił. Ci wspólnicy nocnych spisków mogli się stać wprawdzie przyczyną więzienia i wygnania, jak byli już źródłem niepokoju i smutnych przeczuć. Ale stali się przytem dla proboszcza ściślejszem kółkiem wiernych, połączonem przez groźną tajemnicę, gminą wybraną, znaczoną krwawym krzyżem na męczeństwo.

Zdaje się, że nikt we wsi nie wiedział o nocnych gościach u księdza Wiklińskiego. Tylko, że przybladł nieco i spoważniał, rzadko teraz przyjmował zaproszenia na obiady i karty, że uśmiech jego, jak i dawniej przyjazny ludziom nabrał od niedawna odwnętrznego promieniowania duszy, przepełnionej ciszą i miłością; zaczęto pogwarzać w chatach o świętości księdza, która mu przychodzi ze statkiem lat dojrzalszych, a we dworach, że praktykuje na prałata, może kiedyś i na biskupa. Rósł widocznie w poszanowaniu ludzi; z wesołego współobywatela w sutannie stawał się wysokim urzędnikiem spraw Bożych, podżegaczem sumień, nosicielem pociechy i przykładu — księdzem.

Gdy nadeszła zima, zabrakło burzy i nocnych wędrówek po śluby do plebanji. Może też ksiądz Wikliński pożenił wszystkie pary, które wybierały się do stanu małżeńskiego w okolicy? Parafja była obrządku łacińskiego, leżała tylko po drodze unitom, przekradającym się po chrzty i śluby do Galicji.

Zima jest mniej piękną porą roku w dziedzinie ducha; ziębną w niej zapały, kurczy się bujność zamiarów. Trwają jednak ziarna i tesknią do wiosennego odżycia. I o naszym proboszczu można powiedzieć to samo. Gdy się oddalały coraz bardziej wspomnienia lata, obawy burzy i prześladowań za pobożne występki, razem z uspokojeniem i pewne uśpienie ogarniało duszę księdza. Zmalało mu jego bohaterstwo, zwłaszcza, że z nikim o niem nie rozmawiał, chyba z Marcinową, niechętnie, bo ta istota poziomego lotu nie przywiązywała do nocnych wypadków ubiegłego lata nadzwyczajnej wagi; wciągała je do szeregu praktyk domowych prawie normalnych, do sekretów gospodarskich. Poprostu — w lecie, gdy potrzeba, daje się nocami śluby, w jesieni suszy się grzyby, na zimę inne są znowu zajęcia.

Zabiegliwość gospodyni o zapasy, o przyszłość i ulepszenie miejscowe zarażała też nieznacznie umysł księdza pewnością, że nic się nie zmieni na rok przyszły, że życie popłynie podobnie, z lekkiemi odmianami, na tem samem wygodnem miejscu .I proboszcz powracał w zimie do tradycyjnych zajęć, zabiegów i stosunków towarzyskich.

Wiosna była znowu, maj i usilna robota w ogrodzie. Ksiądz Wikliński lubił dłubać w ziemi od rana, w dni pogodne. I dzisiaj, w podkasanym kitlu płóciennym, okładał mchem truskawki, rozwijające już wesołe liście na tłustej grzędzie, truskawki, sprowadzone az z Francji przez uprzejmość pani Drozdowskiej, penitentki. Grzęda dochodziła do furtki w płocie, otwartej na łączkę, gdzie wyrzucano odpadki ogrodowe do kompostu.

W furtce błysnęła nagle postać kobieca, zakutana w chustę, pomimo ciepłej pogody; ukazała się na chwilę, położyła na ziemi kosz okryty i znikła. Ksiądz porzucił robotę i pobiegł do furtki, aby wyjrzeć poza ogród; kobieta uciekała przez łąkę z całych sił, potem zatrzymała się o jakich sto kroków, zwróciła głowę i ręką do ziemi ukłoniła się błagalnie. Oczy tylko młode błysły z pod chusty, kobiety ksiądz nie poznał. Oddaliła się już spokojniej, szara plamka nieznaczna na wielkiej haftowanej majem szacie ziemi.

Ksiądz zbliżył się do porzuconego koszyka, w którym pod zgrzebłą płachtą ruszało się jakieś stworzenie. Przykląkł, odsłonił — dziecko!

— To już przechodzi wszelką zuchwałość! — zawołał głośno ksiądz, zrywając się na nogi. — Będą mu tu dzieci podrzucali!

Trudna rada — trzeba było wziąść tymczasem. Przykląkł znowu. Dziecko bardzo drobne jeszcze całe barwy bladego koralu, poziewało pociesznie, wyłamując rączyny, a nóżkami wierzgało energicznie w płachtę. Przykryte zaś było kawałkiem płótna i sporą kartą z widocznym, grubo nakreślonym napisem.

Ksiądz przeczytał:

„Syn Hryćka i Paraski Lewczuków doprasza się łaski chrztu świętego. Imienia prosi ojcowego. Położyć na tem miejscu po zachodzie. Matka przyjdzie".

— To co innego — mruknął ksiądz, znacznie udobruchany.

Nakrył kosz płachtą i jakby ogrodowiznę zabierał do domu, zaniósł kosz do kuchni, do Marcinowej.

Gospodyni przeszła przez wszystkie stopnie pod iwu, oburzenia i wzruszenia, których doznał przed chwilą proboszcz, lecz gdy się nareszcie dowiedziała całej treści wypadku, zamyśliła się, licząc na palcach.

— A to, proszę jegomości, dziesiąty miesiąc idzie od naszego pierwszego ślubu — to nasze!

Uśmiechnęła się przytem jakoś zbyt poufale, aż ksiądz chciał się nasrożyć, ale zaraz i sam się zaśmiał serdecznie, machnął ręką:

— Możemy ich mieć i więcej!

Od tego chrztu ksiądz Wikliński znowu podniecił w sobie niespokojną iskrę służby Bożej, gdyż zmiarkował, że nowy jej sezon już się rozpoczął.

Ale pod koniec maja wypadły imieniny właściciela folwarku, doroczna okazja zjazdu sąsiedzkiego, którego proboszcz nie mógł opuścić bez ubliżenia swemu kolatorowi i przyjacielowi.

Jakoż na kolację przybył do dworu. Gości było dużo, panów i pań, a między niemi i uprzejma ofiarodawczyni truskawek. Kolację podano bardzo sutą, w wysokim stylu kulinarnym.

Ksiądz Wikliński zauważył, że takiego kapłona nadzianego kasztanami jadł tylko raz uprzednio, w hotelu Europejskim w Warszawie, na bankiecie z powodu zjazdu kolegów gimnazjalnych. Co zaś do win, to, gdyby tylko półkieliszkiem wypić każdy toast wzniesiony, jużby wypadła bez mała butelka na osobę. Potem kawa, likiery francuskie...

Wreszcie zebrały trzy stoliki grubego, imieninowego winta. Brały w grze udział i panie, a przy stole, razem z proboszczem usiadł solenizant i uprzejma pani Drozdowska. Noc nadzwyczaj ciepła pozwalała na otworzenie okien i zapach bzu rozrzedzał dymy cygar, a w rozpalonych mózgach biesiadników młodo było i ochoczo.

Wtem grzmot się odezwał, z wonią bzu przychodzący pierwszy młody grzmot. Ksiądz drgnął i złożył karty.

— Ha, ha! — rozśmiał się gospodarz domu — kochany proboszcz! Mężczyzna odważniejszy od nas, już to się wie, ale burzy się boi, jak dzieciak. No, obejrzyj ksiądz karty. Masz tam koronkę przynajmniej i parę asów?

Ksiądz miał rzeczywiście w ręku koronkę do szóstki, ale rozegrał nieuważnie i stracił ze dwie lewy, narażając na uszczerbek i damę, swą partnerkę.

Zagrzmiało znowu, deszcz zaczął się już ogłaszać po bliskich drzewach, wiatr zakołysał promieniami świec. Niecierpliwa burza nadciągała.

Ksiądz Wikliński powstał od stołu, zafrasowany, lecz stanowczy.

— Najmocniej szanownych państwa przepraszam... przypomniałem sobie... mam w domu pilną robotę i mszę wczesną... Już po jedenastej...

— Ale cóż znowu! robra trzeba skończyć! Ileż to razy... A przytem deszcz już leje. Choćby deszcz przeczekać.

— Podczas burzy wolę być u siebie...

— I nam tu grozi burza! obecność księdza proboszcza pokrzepiłaby nas — odezwała się żartobliwie pani Drozdowska.

— Darują państwo, muszę koniecznie do domu — wypraszał się proboszcz, godząc się już na reputację tchórza.

Gospodarz spojrzał w uparte oczy księdza, i naraz ochłódł w swych gościnnych namowach.

— Kiedy nie można inaczej — pocałował serdecznie proboszcza — puśćcie go. On wie co robi.

Po chwili ksiądz Wikliński, otulony płaszczem, oślepiony błyskawicami i ulewą, darł się pod górę, do plebanji. On wie, kogo burza tam przynosi. Nawet gdyby się dzisiaj tam nie zjawił, on będzie w pogotowiu, na swym wysokim posterunku przemytnika dusz — pod piorunami.

Pielgrzymka polska na Kongresie Eucharystycznym w Dublinie

Cały świat katolicki od szeregu miesięcy przygotowywał się do wspaniałej manifestacji religijnej jaką miał być XXI Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w Dublinie, w Irlandji. Kongres odbył się w końcu czerwca przy sprzyjającej pogodzie i ogromnym napływie wiernych z całego świata. Liczba uczestników przewyższyła pół miljona, w tem dziewięciu kardynałów, 300 arcybiskupów i biskupów oraz 6 tysięcy kapłanów. Papieża reprezentował kardynał-legat Lauri, którego wjazd do Dublina odbył się z niezwykłą pompą przy udziale wojska, władz irladzkich i eskadry samolotów, która nad statkiem niosącym legata utworzyła krzyż.

Również i Polska reprezentowana była dość licznie na Dublińskim Kongresie. Organizacją pielgrzymki zajmował się najczynniej znany czytelnikom naszym ks. Dr. Janicki z Poznania delegat ks. Prymasa do Zarządu Gł. Opieki Polskiej nad Rodakami na obczyźnie.

Pielgrzymka naroowa wyruszyła z Poznania koleją do Paryża i Havru, by tam wsiąść na statek linji włoskiej „Saturnia", który miał ją zawieść do Dublina. Uczestników pielgrzymki zebrało się 135 osób. We Francji dołączyła się później grupa z 30 osób naszych rodaków. Prowadzili pielgrzymkę J. Em. Kardynał-Prymas Hlond, oraz Ich Eksc. Ks. Ks. Biskupi Przeździecki i Okoniewski. Techniczne wykonanie spoczywało w rękach ks. dr. Janickiego i „Frankopolu".

W Paryżu na dworcu na przyjazd pielgrzymki czekał olbrzymi tłum naszych rodaków. Był obecny również ambasador Chłapowski i konsul gen. Poznański. Powitaniom nie było końca. Księża Biskupi zamieszkali w domu „Les missions étrangères" u ks. arcybiskupa de Guébriant, pielgrzymka — w hotelu Bchy-Lafayette przy ulicy tego imienia. Nazajutrz, w niedzielę, odbyło się w kościele polskim przy ul. St. Honoré nabożeństwo, na które zebrały się organizacje polskie ze sztandarami. Nabożeństwo celebrował J. Em. ks. Kardynał Prymas, w czasie którego przemówił w serdecznych słowach do zebranych o wcielaniu zasad miłości Chrystusowej w życiu codziennem. Nawiązując do miłości Ojczyzny, wzywał dostojny mówca rodaków we Francji, aby jaknajściślejszą zachowywali łączność z macierzą, aby unikali waśni wewnętrznych a swem zachowaniem aby dawali dobry przykład i u innych wzbudzali szacunek dla naszego narodu. Po nabożeństwie odbyła się wspólna fotografja oraz przyjęcie przedstawicieli Polonji paryskiej w siedzibie Misji polskiej.

Niezwykle wzruszające było powitanie pielgrzymki naszej przez rodaków w Havrze. Na przystani zebrała się nasza kolonja z orkiestrą, chórem. Dziewczęta przybrane w stroje krakowskie ofiarowały naszym Pasterzom kwiaty, pięknie deklamowały, sławiąc Polskę i mowę ojczystą.

Przybycie do Dublina J. Em. ks. Kardynała Hlonda Prymasa Polski, I. Eksc. ks. ks. biskupów Przeździeckiego i Okoniewskiego oraz pielgrzymki polskiej nastąpiło już po oficjalnem otwarciu Kongresu, dn. 22 czerwca popołudniu. Tender z barwami polskiemi na maszcie głównym, wiozący Konsula jeneralnego R. P., dziennikarzy, fotografów oraz urzędników portowych odpłynął z portu dublińskiego na powitanie dostojnych gości już o godz. 1-szej, ale dobrych kilka godzin minęło, zanim z jego pokładu dostrzożono zarysy olbrzymiej „Saturnji", na której również powiewały barwy polskie. Spotkanie nastąpiło w otwartem morzu. Ks. Prymas przyjął niezwłocznie konsula jeneralnego, poczem łaskawie udzielił wywiadu przedstawicielowi „The Irish Independent" oraz zezwolenia na dokonanie zdjęcia fotograficznego w otoczeniu ks. ks. biskupów i konsula jen. Tender odbił od „Saturnji" o godz. 7 popoł.

Pierwsze zetknięcie z ludem irlandzkim nastąpiło w porcie dublińskim, gdzie na wieść o przybyciu kardynała Prymasa Polski zgromadził się tłum najuboższej ludnośćsi portowej, która zwartem kołem otoczyła samochody J. Em. i ks. ks. biskupów, wznosząc gorące okrzyki, klaskając w dłonie, prosząc o błogosławieństwo i całując pierścienie polskich dostojników kościelnych. Jakiś starszy irlandczyk z zapałem wykrzykiwał: „Sobieski, Sobieski!"... Z trudem zdołały samochhody przecisnąć się przez rozentuzjazmowaną ciżbę, a w oczach J. Em. i biskupów malowało się głębokie wzruszenie.

Naogół w Irlandji mało wiedziano o Polsce. O ile najczęściej ze źródeł berlińskich w sposób swoisty przedstawiający Polskę. Wiadomości z życia religijnego i kulturalnego otrzymywała prasa irlandzka z komunikatów w języku angielskim Katolickiej Agencji Prasowej.

Ogromną zasługę w uświadamianiu Irlandczyków o Polsce mają przedstawiciele naszego Najd. Episkopatu w osobach J. Em. Ks. Kardynała-Prymasa Hlonda oraz II. EE. księży biskupów Przeździeckiego i Okoniewskiego. Czy to w rozmowie z prezydentem Irlandji i czynnikami rządowymi, czy to z przedstawicielami Episkopatu i społeczeństwa irlandzkiego nasi księża biskupi mówili o Polsce, zbijając nieraz fałszywe o nas wyobrażenia. Również poszczególni księża oraz świeccy, władający językiem angielskim, mieli możność oddziaływania na opinję irlandzką i informowania prasy.

Z drugiej strony Polacy spotkali się z niezwykle życzliwem przyjęciem w Irlandji. Kongres Eucharystyczny w Dublinie odznaczał się wspaniałą organizacją, a jednocześnie i wielką prostotą. Nie było żadnych wielkich przyjęć, ani zbyt kosztownych dekoracyj. Na każdym kroku uderzała skromność i oszczędność, wszędzie jednak darzono nas sercem całem i czem chata bogata. Harmonizowało to w szczególny sposób z Kongresem Eucharystycznym i z przeżywanym dziś kryzysem gospodarczym. Można powiedzieć, że wysiłki całego narodu irlandzkiego złożyły się na przygotowanie Kongresu Eucharystycznego.

Polacy brali udział nietylko w ogólnych uroczystościach w pracy swej własnej sekcji, ale uczęszczali i na sekcje inne jak np. wschodnią, misyjną, akademicką i t. d.

Dzień 24-go rozpoczął J. Em. ks. Prymas Hlond bytnością na sekcji belgijskiej, gdzie ks. kardynał Van Roey, arcybiskup Malines, zgotował mu serdeczną owację i w gorących słowach mówił o trzech siostrzanych krajach — Polsce, Belgji i Irlandji, zjednoczonych wspólnem umiłowaniem i przywiązaniem do Kościoła Katolickiego.

Szczególnie wzruszyła Irlandczyków obecność J. Em. Prymasa i Biskupów polskich na sekcji irlandzkiej, na której przemawiano starożytnym językiem Erynu. Byli to jedyni przedstawiciele episkopatu zagranicznego. Po posiedzeniu prezydent de Valera wyszedł, by serdecznie podziękować w imieniu Irlandji naszym pasterzom.

Przewodniczący sekcji Mgr. Amigo, biskup Southwark, prosił Eminencję o wygłoszenie paru słów, które też popłynęły z ust Kardynała polskiego w najpiękniejszej łacinie, a posłużyły za powód do nowego wybuchu entuzjazmu.

Prawdziwie polskim dniem Kongresu było sobota dn. 25-go. Dla posiedzenia sekcji polskiej wyznaczona została obszerna aula w gmachu Uniwersytetu narodowego (National University). Rektor wszechnicy dr. Coffey wraz członkami komitetu spotkał J. Eminencję i biskupów polskich przed gankiem gmachu i prosił ich do sali rektorskiej. Tymczasem, ulicami prastarej stolicy irlandzkiej, nadciągała pod barwami polskiemi cała pielgrzymka polska z ks. prałatem Choromańskim, ks. prałatem Kaczyńskim, ks. dr. Janickim i in. na czele, — a wkrótce potem gorącym hołdem przez współrodaków witany J. Em. zagaił posiedzenie sekcji polskiej. Po raz to pierwszy aula irlandzka uczelni narodowej rozbrzmiewała dźwiękami polskiej mowy, a, rzec można, iż rozbrzmiewała ona w przepięknej i wyszukanej formie, która znalazła swój wyraz zarówno w podniosłych słowach ks. Prymasa, jak i w pełnym szczytnych myśli referacie ks. Łagody oraz we wspaniałem przemówieniu prof. Haleckiego. Świetny mówca, władający z jednakową doskonałością szeregiem języków, historyk głęboki i wszechstronnie wykształcony, prof. Halecki z niezwykłą jasnością myśli przedstawił w swem przemówieniu wiekopomną rolę Irlandji w pierwszem tysiącleciu chrześcijaństwa i jej wpływ na posłannictwo misjonarskie Polski na wschodzie Europy.

Myśl tę mówca rozwinął szerzej w łacińskiem zakończeniu, zwróconem do obcych delegatów. Streszczając w niem swoje wywody, ze szczególnem podkreśleniem gorących uczuć Polski dla Irlandji, wyraził on nadzieję, że Kongres Eucharystyczny zbierze się może w Polsce już za cztery lata, kiedy i my obchodzić będziemy wielką rocznicę religijno-narodową: 550-lecie nawrócenie Litwy przez Polskę dzięki ofierze naszej świętej Jadwigi. Kończąc, zapewnił referent, z jaką radością Polska powitałaby wówczas swych gości, zwłaszcza pielgrzymów irlandzkich.

Po zakończonem posiedzeniu nastąpiło zdjęcie fotograficzne całej pielgrzymki, która niezwłocznie potem ruszyła na nabożeństwo do kościoła św. Teresy. Mszę św. odprawił ks. biskup Przeździecki, kazanie wygłosił ks. biskup Okoniewski. Pielgrzyma polska przedstawiała się na Kongresie doskonale i zwracała powszechną uwagę swym wyglądem oraz artystycznie wykonanemi chorągwiami.

Nabożeństwo w dniu zamknięcia Kongresu, czyli 26-go rozpoczęło się w Phoenix Parku o godz. 1 pp. Sumę celebrował arcybiskup z Baltimore, koncelebrował J. Em. Legat papieski, kardynał Lauri. Na wzniesieniach zasiedli księża kardynałowie: Hlond, Verdier, Van Roey, Bourne, Lavitrano, O'Conell, Daugherty, Hayes, oraz około trzystu księży biskupów i opatów. Prałatów, zwykłych księży, zakonników, obliczano na zgórą sześć tysięcy. Oprócz Legata papieskiego i jego świty w dniu zamknięcia Kongresu przybył ochmistrz dworu Jego Świątobliwości, pronotarjusz apostolski Caccia-Dominioni.

Najbardziej wzruszającym momentem podczas nabożeństwa była chwila udzielania błogosławieństwa apostolskiego. Zamilkły nagle organy i śpiewy, wszyscy uklękli i nad pochylonemi głowami niezliczonych rzesz rozległ się głos Ojca Św. z wyżyn watykańskich udzielający błogosławieństwa zebranym dzieciom z całego świata. Za radjostacją watykańską powtórzyły je megafony całej Irlandji.

Po skończonem nabożeństwie, krótkiem wytchnieniu i posiłku wyruszyła procesja do mostu O'Connell. Niósł Najśw. Sakrament kardynał Legat. Wartę honorową pełnił korpus oficerski. Obok baldachimu szli prezydent Irlandji oraz rząd. Poprzedzało duchowieństwo. Za celebransem szli księża kardynałowie, dalej posłowie, korpus dyplomatyczny, senaty akademickie, goście z zagranicy, organizacje religijne, społeczne i t. d.

Procesja szła około trzech godzin. Skupienie, powaga odbijały się na twarzach. Widać było, że Irlandja modli się w tym dniu.

Na moście O'Connell'a, bohatera Irlandji ,któremu głównie zawdzięcza wywalczenie swych praw, ustawiony był na wzniesieniu ołtarz. P oprzybyc u procesji, Kardynał-legat wygłosił przemówienie w języku angielskim, dając wyraz swego podziwu dla wspaniałości Kongresowych, składając podziękowanie w imieniu Ojca Św. dla Narodu irlandzkiego i jego władz, oraz życzenia dla Irlandji błogosławieństwa Bożego Nastąpiło „Te Deum", błogosławieństwo Najśw. Sakramentem i Kongres Eucharystyczny został zakończony.

Przeżyliśmy chwile, których wrażenie potężne był duchowem zjednoczeniem wielkiej rodziny Kościoła powszechnego. Irlandja, „matka bohaterów za wiarę" — jak ją nazwał Ojciec św., — w ciągu całych wieków znosząca inkwizycję protestancką, najstraszniejszą, jaką oglądały dzieje, bo wydziedziczającą autochtonów z wiary, języka i rodzinnej ziemi, wykała dowodnie, co może siła ducha, wsparta na fundamencie religji Chrystusowej. Kongres Eucharystyczny był jednocześnie przeglądem sił narodowych. Umilkły w tym okresie waśnie polityczne, wszyscy zjednoczyli się około Chrystusa eucharystycznego, błagając Go o błogosławieństwo dla zmartwychwstałej ojczyzny.

Polacy, myśleli w tym dniu o Polsce i modlili się za nią.

Sierpień 1914 i 1920 roku

W zaraniu dziejów Polski odrodzonej sierpień zapisał się dwukrotnie jako miesiąc wydarzeń wielkiej doniosłości, które zaważyły na szali losów naszego kraju.

Sierpień 1914 r. Rozgorzała w całej pełni wielka wojna światowa, owa wojna ludów, o którą modlił się Mickiewicz. Czuł cały kraj, że zbliża się godzina Polski na światowym zegarze. Uświadamiali to sobie również politycy zagraniczni. Zdezorganizowany przez stuletni ucisk pod trzema zaborami ,przygnieciony brzemieniem działań wojennych, trwał naród w biernem oczekiwaniu. Walczyli z sobą dwaj jego najwięksi wrogowie — Niemcy, Rosja, a w przymierzu z niemi państwa, których życzliwości miewaliśmy dowody. Przystąpienie do jednej z walczących stron wydawało się niebezpiecznem usankcjonowaniem ucisku i zaboru ziem, dokonanych przez jedno z tych dwóch wrogich państw, a jednocześnie lekkomyślnem wyrzeczeniem się pomocy i poparcia tych państw, którym znaczna część Polaków przywykła ufać. W tych warunkach absolutne, jednomyślne wypowiedzenie się narodu po jednej ze stron było niemożliwe. Wewnętrzne rozdarcie było wynikiem dziejowego fatum, a nawet koniecznością chwili. Jedynie formy tego rozdarcia i szukania różnych dróg nosiły piętno odwiecznych wad narodowych.

W atmosferze ogólnej niepewności i nieufności żłobili mozolnie politycy polscy ścieżki porozumienia z wojującemi państwami w różnych, często sprzecznych kierunkach, które jednak wiodły wszystkie ku wspólnemu celowi — wyzwolenia Polski. A wśród splątanych ścieżek płynął u spodu, niedostrzegalny ale głęboki nurt instynktu narodowego, wierzącego intuicyjnie, że wybiła godzina klęski dla obu odwiecznych wrogów Polski, że padną obaj, wskutek własnych błędów i wyczerpania śmiertelnym bojem, a na gruzach ich przemocy odrodzi się wolna Polska jak Feniks z popiołów, przepowiedziany w widzeniu Wernyhory. Ten sam instynkt, najsilniejszy w duszach młodych i prostych, kazał chwytać za broń i walczyć, wykorzystując sposobność nadarzającą się po raz pierwszy, od czasu ostatniego powstania, tworzenia polskiego czynu zbrojnego.

Przewidział i przemyślał możność zorganizowania uśpionej siły bojowej Polaków Józef Piłsudski, milczący bojownik o wolność polską od r. 1904. Osądził, że najbardziej sprzyjające dla akcji tej warunki znajdzie w ówczesnej Galicji i rozpoczął na parę lat przed wybuchem wojny skupianie młodzieży polskiej i ćwiczenie jej w organizacjach wojskowych. Nie cofnął się przytem przed nieubłaganą konsekwencją tego kroku — stanięcia u boku walczących wojsk austro-niemieckich, byle za tę cenę uzyskać potrzebne poparcie, uznanie przez rządy tych państw odrębnej polskiej formacji zbrojnej i Rządu narodowego, byle módz rozpocząć wojnę z jednym narazie odwiecznym wrogiem Polski — Rosją. Taka decyzja wydawała się sprzeczna z tradycyjną polityką, szukającą od czasu utraty niepodległości oparcia we Francji i Anglji. Nie dziw, że znaczna część polskiego myślącego ogółu traktowała ten czyn jako niebezpieczeństwo, mogące przyprawić Polskę o utratę prastarych zachodnich dzielnic, nawet o wynarodowienie Królestwa Polskiego, gdyby stanąć na niem miała na zawsze zwycięska stopa niemiecka.

Mądrze i roztropnie wiązała większość polityków polskich sprawę polską ze zwycięstwem Ententy, wchodziła w porozumienie z jej mężami stanu, uzyskiwała od nich pewne przyrzeczenia i upatrywała możliwości tworzenia odrębnych polskich jednostek bojowych. Polityka ich niewątpliwie w dużej części uwieńczona została powodzeniem jak się okazało po rozgromie Niemiec, przy układach pokojowych. Niemniej mądrą i przewidującą była polityka, która doprowadziła dwóch cesarzy państw zaborczych do uroczystego aktu uznania państwa polskiego. Na razie

jednak dla młodych zapaleńców skupionych w formacjach strzeleckich, zbrojne wystąpienie, wskrzeszenie wojska polskiego zanim nastąpi przy jego udziale wskrzeszenie Polski, stawało się głównym celem nie trudząc się zbytnio dociekaniem wątku tej lub owej polityki, ufając bezgranicznie swemu wodzowi, który potrafił natchnąć ich wiarą w wartość ich czynu — dali się unieść rycerskim tradycjom polskich powstań narodowych. Była ich zaledwie garstka — głównie młodzieży ze szkół i warsztatów pod dowództwem dawnych towarzyszy tajnej, niepodległościowej roboty Piłsudskiego. Młodzieńczy ich zapał i męstwo, śmiałe zaryzykowanie stawki w grze o losy wojny przyniosło im zaszczytną nagrodę — zasługę, że ich legjony stały się pierwszym zawiązkiem wojska polskiego.

W ów pamiętny dzień 6 sierpnia 1914 r. nadszedł upragniony rozkaz, napełniający radosną dumą świeże, żołnierskie dusze tych młodych śmiałków odzianych w szare mundury strzeleckie, zebranych w Oleandrach, w Krakowie. Mieli wyruszyć sami, bez osłony wojsk obcych choć sprzymierzonych i pierwsi przed niemi, stanąć na polskiej ziemi ujarzmionej przez Rosję, zatknąć na niej po raz pierwszy od 1831 r., chorągwie i bagnety żołnierza polskiego, rzucić wezwanie moskiewskiej potędze. Nie martwiono się, że wyruszały zaledwie setki, licho uzbrojone, i niezdolne zaważyć w walce z zakutemi w stal miljonami armji rosyjskiej. Ważną była nie bojowa lecz moralna wartość czynu, nawiązanie ciągłości z dawnemi wysiłkami o zdobycie niepodległości, rozpoczęcie otwartej walki zbrojnej. Z setek miały rozmnożyć się tysiące z pierwszej kadrówki drużyn i związków strzeleckich własne wojsko polskie.

Krzywdą byłoby zapomnieć o zasługach innych formacyj wojskowych, które po tamtej stronie frontu krwią własną znaczyły krzyżową drogę wyzwolenia Polski. Równa im cześć i chwała. I teraz w perspektywie lat kilkunastu jakże rażącą się nam wydaje owa harda bezwzględność i niechęć wzajemna, z jaką spoglądały na siebie dwa obozy, walczące na różnych drogach o rzecz tę samą — niepodległość. Tłomaczy ich jednak wiara w słuszność obranego kierunku, a także twarde prawo wojny nie znające wahań, wreszcie starodawny, polski nawyk waśni.

Istniała zresztą rozbieżność zdań i tarcia nietylko w różnych obozach politycznych, ale nawet w łonie bliskich sobie, walczących ramię o ramię organizacyj wojskowych. Dla przecięcia tych szkodzących sprawie zatargów padły mocno i dobitnie słowa pierwszego rozkazu Józefa Piłsudskiego z dn. 5 sierpnia 1914 r. do oddziałów związków i drużyn strzeleckich złączonych w pierwszą kompanję kadrową w Oleandrach w Krakowie.

„Odtąd niema ani Strzelców ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest orzeł biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję abyście zamienili ze sobą wasze dawne oznaki jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najlżejszy nawet cień różnicy między wami".

Gdyby ta myśl przewodnia nie przebrzmiała bez echa, gdyby była utrwalona w szeregach i wśród kierowników ówczesnych i przyszłych organizacyj wojskowych i cywilnych narodu polskiego, równiej i spokojniej potoczyłyby się zapewne dzieje. W razie jednak ostatecznej potrzeby, gdy życie i całość narodu były zagrożone, odzywał się zawsze ów przemożny, w innym czasie jak gdyby zanikający, instynkt trwania i w obronie bytu swego i następnych pokoleń znajdywał wyraz właściwy.

Tak było w sierpniu 1920 r. W obliczu niebezpieczeństwa zamilkły wtedy waśnie i nienawiście, jątrzące się na świeżo zabliźnionych ranach odrodzonego ciała Rzeczypospolitej. Zdawało się, że znikł „najlżejszy cień różnic" dzielących Polaków. „Symbolem zupełnej zgody i braterstwa" staje się Rząd Obrony Narodowej. W szeregi armji ochotniczej występuje każdy kto żyw i zdolny do noszenia broni: ziemianin i robotnik, inteligent i chłop, socjalista i narodowiec. Zwycięstwo nad bolszewikami padło wówczas jak dojrzały owoc zdawna obmyślonego planu Naczelnego Dowództwa. Nie ujmując jednak lauru tego zwycięstwa sztabowi generalnemu — Głównemu Wodzowi i jego generałom oraz współdziałającemu tak owocnie generałowi Weygand, oddajmy sprawiedliwość, owej cudownej odmianie dusz, która dokonała się w sierpniu, przy boku zbliżających się dział, owemu powszechnemu zapałowi, który uniósł cały kraj i porwał wojsko do zwycięskiej walki.

Przemiana ta dokonała się pod auspicjami Królowej Polski, Bogarodzicy, wiodącej od wieków wojska polskie w bój za słuszną sprawę. Tak więc w sierpniu, w tym roku wojny z bolszewikami, zdobyło sobie młode wojsko polskie, prócz ostróg rycerskich wcześniej wywalczonych, ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej, który oby chronił je zawsze od zła i upadku ducha.

My zaś, świadkowie i uczestnicy tych zdarzeń, możemy przekazać młodszym i nieobecnym wówczas rodakom, naszą spokojną, niezachwianą ufność, w niezmożone zasoby żywotności narodu polskiego, w zwycięstwo jego sił dośrodkowych w ważnych rozstrzygających o losie jego chwilach. I aczkolwiek chciałoby się, aby i przy normalnych losu kolejach owe lepsze i jaśniejsze siły panowały nad życiem narodu, cieszyć się musimy i z tego, że niezawodny jego instynkt znajduje zawsze właściwą drogę pod grozą niebezpieczeństwa, które oby omijało jak najdalej nasze ziemie i żyjących na nich rodaków.

ZOFJA GEWARTOWSKA.

Z nadniemeńskich lasów

Szkice: Na granicy polsko-litewskiej w Druskiennikach *)

Stoi nad Niemnem las — wielki las — wielka świątynia leśna — zielona kaplica.

To las na „Poganoe",

Przez seledynowe witraże rozłożystych gałęzi sosnowych sączą się plamy świtlne — złote blaski słońca. Wówczas radośnie bywa w lesie. Krążą w nim uśmiechy, uśmiechy pogodnego ranka.

Wtedy w lesie jest tak, jak w celi klasztornej, gdy pada na obraz święty słońce — jasność i nadzieja w lesie jest cisza, słodka cisza, a jednak ile w tej ciszy szmerów, nieuchwytnych drgnięć natury. Jak z kadzielnic płynie z lasu woń żywicy, woń zdrowia.

A dalej — mała polana.

Tuli się do matki — ziemi cicha, skromna macierzanka.

Zboku — małe kępki wrzosu.

Krajobraz à la Rapacki.

Srebnawo — szare, kruche mchy obrastają pnie sosen.

Za lasem — łąki i pola.

W świątyni leśnej o poranku rozszczepia się dusza twoja.

Idzie od sosenki do sosenki .Chwyta, pochłania szmery i głosy — echa leśne.

Jest już nie sobą tylko, jest lasem całym — świątynią bożą.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Cudne są ranki, spędzone w lesie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Za cmentarzem, na prawo w lesie — dwa małe jeziorka.

„Panieńskie oczy".

Przymrużyły jasne tonie długą rzęsą tataraku, ocieniły swe źrenice ciemną zdecydowaną zielenią świerku.

Czasem i twoja dusza staje się, jak jezioro leśne— czysta, spokojna, głęboka.

Wokoło jezior grunt błotnisty, wilgotny, zapach ziemi, traw. Paprcie. Grubsze i drobniejsze wytwornym, wypieszczonym kształtem cieszą twój wzrok.

Za jeziorkami — łąki i łąki. Sianokos. Chłop zwozi właśnie wysoką, pełną, dorodną furę siana. Zapach. Cóż za upojny zapach świeżego siana!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Płynie błękitny Niemen, płynie szerokiem, rozwartem korytem. Jakgdyby płucami wolno, spokojnie.

Jakie bogactwo brzegów!

Tu przeglądają się w wodzie gęste lasy iglaste, tam — żółto — czerwonawy, stromy, piaszczysty brzeg.

Tu stara, karłowata, wiekowa sosna bezradnie rozłożyła wyschłe ramiona nad głębią; tam — brzeg niski, żwir, kamienie, trochę trawy, a obok na wzgórzu, po litewskiej, zadumanej stronie coś między zielenią majczy — stary dwór drewniany — „Leśna", ruiny dawnej, polskiej rezydencji.

Biały statek spacerowy miarowym ruchem pruje niemnową falę. W chłodnym, cienistym parowie, w kaskadowym pędzie, paląc się po kamieniach, biegnie do Niemna kręta rzeczka Rotniczanka.

Dalej — rozszerzają się brzegi rzeki — most. Tam — za mostem na środku błękitnych wód — rozsiadła się wyspa, jedyna w swym rodzaju; do połowy polska, do połowy — litewska. To — plaża. Może w jasną noc księżycową pląsają wokół wyspy pogańskie boginki wodne — ondyny, jak głosi legenda? Z fali na falę, z fali na falę.

Kto wie?

Druskieniki, w sierpniu.

*) Druskienniki położone na grodzieńszczyźnie na samej granicy Litwy Koweńskiej są malowniczą miejscowością kuracyjną, ulubionem miejscem wywczasów letnich Marszałka Piłsudskiego.



Życie w polskim domu

CHŁODNIK LITEWSKI.

1½ litra mleka zsiadłego ubić dobrze i z mieszać z osobno ubitym ½ litrem śmietany; mieszając ciągle wlać pół litra kwasu ogórkowego lub barszczu burakowego, uprzednio wysłudzonego. Włożyć botwinę t. j. świeżych listków i natki z buraków ćwikłowych ugotowanych i drobno pokrajanych; 1 ogórek świeży i 1 solony, 4 jaja na twardo ugotowane, trochę pieczonej cielęciny lub ryby jakiejkolwiek, wszystko drobno w kostkę pokrajane. Należy również dodać szczypiorku i koperku drobno pokrajanego. Posolić do smaku i wstawić chłodnik w lód, a przed podaniem wrzucić parę kawałków lodu.

ZUPA OWOCOWA.

Zupę owocową można robić z najrozmaitszych owoców n. p. śliwek świeżych lub suszonych, jabłek, gruszek, moreli, wisien, truskawek, poziomek, borówek i jagód. Owoce należy opłókać, obrać z łupek i z pestek nalać wodą i gotować. Potem przefasować przez sito, pocudnować, rozprowadzić smakiem, w którym się gotowały i zapuścić śmietaną rozbitą z łyżką mąki, lub tylko samą mąką rozpuszczoną w kilku łyżkach zimnej wody. Zupę podaję się na zimno lub na gorąco z grzankami lub kluseczkami.

PIEROGI Z WIŚNIAMI.

Przygotować ciasto na pierogi jak zwykle, rozwałkować cienko, powycinać placuszki foremką, nakładać owoce i brzegi mocno zlepiać. Po ugotowaniu wyjąć łyżką durszlakową na półmisek i obficie pocukrować. Po wystudzeniu podawać z kwaśną śmietaną.

KISZENIE OGÓRKÓW NA ZIMĘ.

Ogórki na zimę należy kisić kiedy są najdorodniejsze; wybierać ładne zielone, bez plam, zebrane w suchy czas. Układać w beczułkę dębową dobrze wyparzoną kilkakrotnie. Dno beczki należy wyłożyć koprem i każdą warstwę ogórków przekładać również koprem z niewielką domieszką liści wiśniowych lub winogronowych. Do Beczułki włożyć kilka ząbków czosnku i kilka kawałków ostruganego chrzanu. Ułożone ogórki w beczce należy zalać wystudzoną wodą z solą, biorąc ¼ kg na kopę ogórków. Beczułkę potem zostawić przez kilka dni w piwnicy i potem dolać do pełna zimną wodą, nałożyć wieczek i zalać szpary smółką. Po paru tygodniach należy beczułkę przetoczyć aby się ogórki równo kwasiły.



CZESŁAW MONDRZYK (Exincourt)

DOLA DZIEWCZYNY

Czy trza było ci, dziewczyno,
Rzucać ojców? — Tyś myślała,
Że we Francji ci popłyną
Dnie jak w bajce — teraz cała
Prawda wyszła na widownie
I uderza tak wymownie.

O, dziewczyno! twe marzenia,
Twe sny jasne, sny dziewicze
Prysły dawno... i cierpienia
Stygmat wypełzł na oblicze,
Znikła twoich lic pogoda,
Łzy ją zżarły.. jaka szkoda!

O, dziewczyno! Nie dla ciebie
Kraj gdzie lekkie obyczaje!
W domu byłaś jakby w niebie,
A tu — serce ci się kraje
Z żalu, smutku i tęsknoty...
Tyś dziś inna — prysł sen złoty...

O, nie wrócisz ty do sioła
Taką świeżą i dziewiczą...
Życie zdarło ci wstyd z czoła,
Przepoiło pierś goryczą .
O, dziewczyno, jaka szkoda,
Żeś w świat poszła taka młoda!

Wiem, gdy wrócisz w próg swej chaty,
Sprawisz radość w krewnych kole,
Lecz poczekasz ty na swaty,
Oj, poczekasz... a bo w siole
Będą drwili z ciebie chłopcy,
Że odmienił cię kraj obcy.

O, dziewczyno jaka szkoda,
Jaka krzywda cię spotkała!
Szłaś do obcych taka młoda,
Taka jeszcze niedojrzała —
Świat cię olśnił, aby potem
Ugodzić Cię cierpień grotem.

Czyż trza było ci, dziewczyno,
Rzucić zagon ojców roli,
Czyż trza było? — Ha, łzy płyną
I serduszko teraz boli,
Lecz zapóźno... Okuj serce
W moc i ucz się w poniewierce;

Ucz się kochać to co swoje,
Co ojczyste! — W głębi duszy
Schowaj smutki, niepokoje,
Bo twym smutkiem się nie wzruszy
Nikt, dziewczyno! — a dla ludzi
Miej oblicze, które łudzi.



POLONJA ZAGRANICZNA

BELGJA.

Pięciolecie Koła Polek w Waterschei.

Od Pani M. Hetmanowej otrzymujemy parę słów o pięcioleciu Koła Polek, które się odbyło w Waterschei w czerwcu b. r.

Uroczystość obchodu rozpoczęła się nabożeństwem w kaplicy podczas którego O. Sebastjan wygłosił kazanie podkreślając cnoty obywatelskie kobiet polek i wierność kościołowi.

Podczas nabożeństwa śpiewał chór kościelny składający się z członkiń i członków miejscowych Towarzystw.

Po nabożeństwie odśpiewano „Boże coś Polskę" i na tem zamknięto uroczystość przedpołudniową.

Druga część obchodu rozpoczęła się o godzinie 4 po południu na sali p. Celki. Na program uroczystości składały się: przemówienia gości, referaty, występy dzieci i starszych, śpiewy i deklamacje, loterja, strzelanie do tarcz i na zakończenie zabawa taneczna. Trzeba było być tam na miejscu, aby odczuć zadowolenie starszych i młodzieży.

Szerokie pole działalności na niwie społecznej w kierunku wychowawczym ma kobieta.

W ręku kobiety spoczywa niemal przyszłość narodu, gdyż jej to z natury rzeczy przypada największy wpływ wychowawczy na wzrastające pokolenie.

Od jej słowa i przykładu zależeć będzie czy młode pokolenie któremu przewodzi nie ugrzęźnie w materjaliźmie, czy potrafi ukochać Prawdę, Dobro i Piękno i pozna i ukocha mocno wiarę, język i dzieje Ojczyzny.

Takiemi przykładnemi Polkami i dbającemi o klejnoty ducha polskiego są członkinie Koła Polek w Waterschei na czele zasłużonej na polu pracy społecznej prezeski Druchny Browarczykowej.

Dzień ten to pamiętna chwila w której osiem sztandarów kobiecych wśród dziatwy i licznie zgromadzonych gości unosiło się nad nami.

W tym dniu polska mowa rozweselała serca nasze.

Echo melodji swojskiej i rodzinnej unosiło nas hen na ziemię ojczystą łącząc nas w jedną, spokojnie duchową, w oddaniu się Bogu i Ojczyźnie.

FRANCJA

Święto polskie w Nantes.

Rok rocznie przed zamknięciem roku szkolnego w zakładzie św. Józefa w Nantes odbywa się w gmachu szkolnym szereg uroczystości o charakterze historycznym. W roku bieżącym pod protektoratem p. ambasadorowej Chłapowskiej odbędzie się festival, o którym tak pisze paryska „La Croix": „Punktem kulminacyjnym festiwalu będzie defilada w strojach polskich z drugiej połowy XVIII wieku. Chóry w strojach ludowych polskich dodadzą malowniczości temu obrazowi. Orkiestra 65 pułku będzie brać udział w tym święcie przyjaźni francusko-polskiej".

PALESTYNA.

Pod dachem Domu Polskiego w Palestynie.

Rozmaite są rodzaje turystów i podróżników. Jedni znalazłszy się zagranicą pragną zapomnieć o wszystkiem, co trąci ojczyzną, rodziną, znajomymi i znaleźć się sam z obcym światem i życiem, uciekają tedy od spotykanych licznie po całym świecie rodaków, jak od zarazy, czy innej plagi. Inni znowu hołdują zasadzie, że milej zwiedzać obce kraje w towarzystwie swoich i wygodniej korzystać z polskich pensjonatów, czy hoteli, rorzuconych nielicznie tu i ówdzie w różnych miejscowościach nadmorskich i kontynentalnych. W tej dziedzinie niema stałej zasady. Co komu wygodniejsze to milsze.

Jest jednak rodzaj miejsc turystycznych, o charakterze religijnym, gdzie pogląd niema ścisłego zastosowania .Lepiej tedy, że w takim Rzymie, Lourdes, a szczególnie w Jerozolimie pielgrzym, czy turysta, może stanąć w polskim hotelu, pesjonacie, czy domu i w niem spotkać się z atmosferą, kuchnią i językiem polskim nie posiadając często innego języka i odpowiedniej znajomości terenu.

Środowiskiem, domagającem się podobnej instytucji, jest Jerozolima. W niej się zbiegają nici zainteresowania całą ziemią Świętą. Stanowi ona centrum pielgrzymowania do takich punktów , jak: Betlejem, Nazareth, Góra Tabor, Kafarnaum, Tybarjada, Jordan i Morze Martwe. Wyjeżdża się do nich i wraca tego samego dnia przy dzisiejszych środkach komunikacyjnych, szczególniej przy samochodzie, wypierającym kolej w Palestynie.

Szczęśliwą i błogosławioną była inicjatywa już zmarłego ks. Pinciurka, który mieszkając szereg lat w Ziemi Św., wyczuwał brak takiego domu, do którego mogliby się schronić pielgrzymi polscy. Myślał on logicznie: mają inne narody piękne, a niekiedy wspaniałe hospicja, dlaczegożby nie mogła się na to zdobyć Polska. Wziął się tedy do wysoce niewdzięcznej pracy zbierania funduszów na ten cel. Ciężko mu to szło na miejscu. Ruszył przeto do Stanów Zjednoczonych i tam, jeżdżąc od parafji do parafji polskiej, kazaniami zdobywał centy i dolary. Zebrawszy ich

kilka tysięcy, wrócił do Palestyny i swoje zamiary zrealizował, kupiwszy posesyjkę w pobliżu VII stacji Drogi Krzyżowej.

Nieruchomość ta jednak nie odpowiadała swojemu przeznaczeniu. Należało ją do gruntu oczyścić i przebudować. Bądź co bądź jednak była ona zaczątkiem Domu Polskiego w Jerozolimie. Ks. Pinciurek, czując się coraz słabszym, fundację swoją oddał pod opiekę ks. Prymasa. W niedługim potem czasie Bogu ducha oddał. Dyrektorem Domu Polskiego, z ramienia ks. Prymasa, został ks. Prałat Trocki, któremu do pomocy dodano jeszcze trzy siostry Elżbietanki z Wielkopolski.

Z tą chwilą rozpoczyna się praca na dobre. Dom przerobiono gruntownie. Zaprowadzono elektryczność i kanalizację, urządzono miłą kapliczkę, dziedzińczyk, saloniki, jadalnię, kuchnię i kilka mieszkalnych pokoików, umeblowano je w przedmioty pierwszej potrzeby. Słowem, dzięki energicznej zapobiegliwości Przełożonej Domu św. Innocenty, powstało ognisko życia polskiego w Jerozolimie. Zamieszkali w nim urzędnicy Konsulatu. Po wyjeździe do kraju ks. prał. Trockiego przybył tu na studja ks. dr. Gronkowski z Poznania. Goszczą w tym Domu wreszcie pielgrzymi, znajdując w nim atmosferę i zdrową kuchnię polską, książkę i gazetę, a nawet i towarzystwo w zwiedzaniu Ziemi św.

„Dom Polski" w obecnym stanie rzeczy, choć jest jeszcze skromną instytucją, zdołał wyrobić dobrą opinję u najwyższych sfer jerozolimskich. Odwiedza ją nawet delegat Apostolski i sam Patrjarcha obrządku łacińskiego, nie mówiąc już o najlepszych stosunkach, jakie go łączo z Generalnym Konsulatem Polskim, który w jego kaplicy urządza wszystkie nabożeństwa i obchody narodowe.

Potrzeby jednak tego domu wzrastają z każdym dniem. Sporadyczna pomoc ludzi dobrej woli, a przedewszystkiem ks. Prymasa, nie wystarcza. Dom Polski, który stał się obecnie miejscem propagandy polskiej na terenie tak ważnym, jak Jerozolima, pewnie znajdzie opiekę u naszego rządu, a przedewszystkiem u całego katolickiego społeczeństwa w Polsce.

X. W. Kneblewski.

STANY ZJEDNOCZONE A. PÓŁN.

Odrodzenie Ducha Polskiego u Młodzieży Polsko-Amerykańskiej.

Praca nad wzmocnieniem poczucia polskości między Polonją Amerykańską stale się rozwija. Za przykładem starszych i młodzież także zabiera się poważnie do tej pracy. Młodzież kształcąca się w wyższych zakładach naukowych — w kolegjach i uniwersytetach, coraz mniej zdaje się wstydzić swego pochodzenia. Zaczyna organizować kółka literackie, kluby lub innej nazwy zrzeszenia polskie. Dawno już nurtowała wśród studenterji polsko-amerykańskiej myśl zorganizowania studenckich klubów w jedną centralną organizację obejmującą całą polską młodzież studencką wszystkich Stanach. Myśl tę zrealizowano w końcu 1928 r. Podczas wakacyj świątecznych Bożego Narodzenia odbył się pierwszy zjazd (konwencja) studentów na którym postanowiono zjeżdżać się co roku podczas tych wakacyj świątecznych. Ostatni zjazd odbył się na Boże Narodzenie 1931 r.

Należy oddać wielkie uznanie Młodzieży Polskiej Uniwersyteckiej, że mając częstokroć bardzo ograniczone środki materjalne i czas zajęty nauką i egzaminami, zdobywa się nietylko na tworzenie zrzeszeń lecz jeszcze potrafi urządzać zjazdy krajowe. Taki ruch i taka praca młodzieży nie tylko zasługuje na uznanie i na poparcie, lecz świadczy o odrodzeniu i tężyźnie poczucia narodowego wśród młodej generacji Polsko Amerykańskiej. Społeczeństwo Polskie w Ameryce, zarówno jak i Starym Kraju, powinno ze szczególniejszą uwagą obserwować działalność młodzieży, gdyż ogólne narzekanie na tą młodzież nie zawsze jest słusznem, a może być niesprawiedliwem i zamiast dodać otuchy i zachęci do uczenia się polskiego języka, a tem samym do polskich ideałów. Prasa już zaznaczyła fakt, że nie zawsze winę powinna ponosić młodzież, gdy ubolewała nad zamknięciem katedry polskiego języka na jednym ze stanowych uniwersytetów, chociaż liczba studentów polaków w tym uniwersytecie jest dość znaczną, i pomiędzy niemi jest dużo takich, którzy polski język nienajgorzej znają, a jednak katedra polskiego języka nie mogła się utrzymać z powodu braku słuchaczy i pieniędzy, jak urzędowo było o tem ogłoszone. Zwykły jednak zdrowy rozsądek, każe szukać innej przyczyny zamknięcia katedry polskiego języka, a nie obwiniać młodzież lub brak pieniędzy. Z młodzieżą należy bardzo oględnie się obchodzić, bo często mała na pozór przyczyna, zwykły nietakt ze strony starszych, zraża tę młodzież, z natury wielce wrażliwą i może jej, a zatem i Sprawie Polskiej, wielką szkodę wyrządzić. Młodzież zaś jest Narodu przyszłością, więc Społeczeństwo i czynniki miarodajne powinny o nią dbać i zwracać uwagę na prace Centrali Studenckiej i wysiłki Młodzieży popierać, a głównie pamiętać, że nie zawsze młodzież jest winną. Do starszych należy nie zrażać młodzież, nie wywołać odruchu zniechęcenia i obojętności, a zagrzewać i zachęcać do pracy i do Polskości.

F. K. Sarmata.

Odczyt o Polskim Pomorzu w „Cosmopolitan Club" w St. Paul, Minn.

Dzięki energicznej pracy polskich organizacyj pomiędzy Amerykanami, a zwłaszcza niektórych osób z miejscowości Polonji, które starannie unikają rozgłosu, zainteresowanie się sprawami polskiemi wśród

społeczeństwa Amerykańskiego stale wzrasta. Jednym z więcej dowodów może służyć, że miejscowy oddział „Cosmopolitan Club'u" urządził zebranie i program poświęcony Polsce i sztuce polskiej.

Główne przemówienie wygłosiła Dr. Marja Królówna, lektorka polskiego języka w uniwersytecie Minnesota, na temat Pomorze Polskie i jego znaczenie dla Polski, oraz dla polityki światowej. Odczyt był bardzo rzeczowy i interesujący i wyjaśnił nie jedną kwestję, o której Amerykanie nie wiedzieli.

Program muzykalno-wokalny składał się wyłącznie z utworów polskich i wykonanych przez polaków. Piękną atrakcją wieczoru był mazur z figurami, odtańczony przez 6 par w ludowych strojach. Zaraz też na sali dostali kilka zaproszeń na występy w Amerykańskich organizacjach, a prezes „Cosmopolitan Club'u" Mr. M. Leod zwrócił uwagę na artystyczne zdolności polaków.

Im częściej Polacy będą przyjmować udział w programach Amerykańskich organizacyj, tem większy pożytek przyniosą Sprawie Polskiej, dlatego uczestnikom programu należy się specjalne uznanie, a przykład ich powinien być powtarzanym.

F. K. Sarmata.

Wystawa Międzynarodowa „International Institut'u" w mieście St. Paul, Minn.

W stolicy stanu Minnesota, w mieście St. Paul, miejscowy oddział „International Instituto" zaimprowizował i urządził wystawę międzynarodową, różnych grup narodowościowych zamieszkujących miasta St. Paul, Minneapolis i okolic".

Udział swój zgłosiło 17 różnych grup, między któremi i grupa polska przyjęła nader czynny i wydatny udział.

Celem wystawy było: wynaleźć i wskazać mieszkańcom bliźniaczych miast (Twin Citles), mało znane źródła piękna i kultury różnych narodowości i tem przyczynić się do lepszego wspólnego poznania się i zrozumienia. Takie zaś zapoznanie ułatwi wzajemne współżycie z różnemi narodowościowymi grupami, oraz ułatwi, także zrozumienie się między Amerykanami i obywatelami zrodzonymi w innych krajach.

Wystawa otwartą była od 21 — 25 kwietnia i przyciągnęła tysiące widzów przeważnie z wyższych sfer miejscowego „High Lif'u". Różne grupy wystawiły swe eksponaty w pięknie udekorowanych kioskach, nadto zarząd Biblioteki Publicznej wystawił wielki zbiór cennych i rzadkich książek w różnych językach i o różnych krajach.

Następujące grupy narodowościowe wystąpiły ze swoimi eksponatami: Angielska, Czechosłowacka, G.ecka, Francuzka, Grecka, Indjańska, Meksykańska, Niemiecka, Norwerska, Ormiańska, Rosyjska, Rumuńska, Syryjska, Ukraińska, Szwedzka, Węgierska i Włoska.

Całość wystawy wypadła imponująco.

Polski Kiosk urządziły gorliwe polki: Dr. M. Królówna, instruktorka polskiego języka na stanowym uniwersytecie, pani Józefa Lemke, prezeska tow. „Wanda", grup. Nr. Z. N. P., przy udziale chętnych pań z miejscowej kolonji polskiej.

W kiosku Polskim bardzo ładnie i artystycznie rozmieszczono wyroby ręczne oraz cenne i historyczne pamiątki. Oglądać można było piękne hafty, koronki ludowe, stroje wiejskie, chustki, kilimy i t. d. Piękne wyroby z drzewa w stylu zakopańskim, rzeźby. Między historycznemi pamiątkami wyróżniała się prawdziwa konfederatka jaką nosił Kazimierz Pułaski, srebrna cukiernica wysadzana dukatami polskimi z czasów przedrozbiorowych. Lalki w strojach ludowych różnych części polski, plakaty, obrazy, broszurki, a zwłaszcza broszurka „w obronie języka", w „obronie Mowy Polskiego Dziecka na Obczyźnie", i wiele innych ciekawych i cennych przedmiotów. Specjalnie uwagę zwracały piękne ludowe huculskie kostjumy użyczone na wystawę przez Dr. Eklund, Amerykanina, który w czasie wojny pracował w Polsce jako lekarz i przywiózł sobie wiele pięknych rzeczy.

Podczas wystawy urządzane były programy różnych narodowości, na które się składały śpiewy, solo i chóralne, tańce, muzyka i przemówienia.

Szczególniej odznaczyła się grupa 6-ciu par, która odtańczyła muzura z figurami. Mazur tak się wszystkim podobał, że publiczność zmusiła swemi oklaskami tancerzy do powtórzenia go kilkakrotnie.

Wystawa została przez publiczność nadzwyczaj życzliwie przyjętą i była dużym moralnym sukcesem. Następnego roku zostanie powtórzoną w znacznie większym zakresie i o większym programie.

Wystawę zwiedziło tysiące osób. Po programie podawano herbatę, kawę, ciastka wyrobów domowych podług przepisów różnych narodów.

W programach przyjmowało udział ogółem 202 osoby w strojach narodowych. W przyjęciach po programowych — 404 osoby, z których 250 w narodowych strojach.

Prasa Amerykańska bardzo życzliwie się odniosła do wystawy, zamieszczając przez cały czas jej trwania szczegółowe opisy i przyjazne komentarze.

Wielkie uznanie wyrażono inicjatorkom i kierowniczkom tego przedsięwzięcia, prezesce miejscowego oddziału pani Almon A. Greenman i kierowniczce pani Alice Lilliequist Sickels.

Miejscowa Polonia z wielkiem uznaniem odnosi się do podobnych poczynań organizacyj Amerykańskich, oceniając zamiary i dobre chęci takowych.

WIADOMOŚCI Z KRAJU

50-lecie dzieła Jen. Zamoyskiej.

W dniu 24 ub. m. w zakładzie Kórnickim odbyła się „rodzinna uroczystość" ku uczczeniu 50-lecia dzieła Jen. Zamoyskiej.

Równe 50 lat temu, 24 czerwca 1882 roku, stanęła p. Jenerałowa na ojczystej ziemi, by w słynnym dziś Zakładzie Kórnickim z 6 towarzyszkami rozpocząć akcję według swego planu „Szkoły Życia". Głównem zadaniem tej akcji jest stowarzyszenie osób świeckich, które nie będąc związane ślubami zakonnemi dążą do doskonałości życia chrześcijańskiego przez pracę — ręczną, umysłową i duchową — i pragną oddać się Bogu w celu wdrożenia do takiego życia chrześcijańskiego dusz, które Bóg zechce im powierzyć. Idea „domów życia chrześcijańskiego" spotkała się niebawem z uznaniem papieży Leona XIII i Piusa X. Oprócz Kórnika powstały kolejno analogiczne domy w Lubowli na Spiszu, w Kalwarji Zebrzydowskiej i w Zakopanem w r. 1890. Nadto w r. 1926 w Sosnowcu otwarto Kursy Gospodarstwa domowego.

Do roku 1914 przez „Szkołę Życia" jen. Zamoyskiej przeszło 6 tysięcy uczennic.

Z chlubą można stwierdzić, że ideje Akcji Katolickiej jako świeckiego apostolstwa Jenerałowa Zamoyska wcieliła w czyn na kilkadziesiąt lat naprzód.

Kongres Eucharystyczny diecezji Sandomierskiej w Radomiu.

W poniedziałek dnia 27 ub. m. o godz. 12,[43] przybył do Radomia J. Em. Ks. Kardynał Kakowski, Ich Eksc. Ks. Arcybiskup Nowowiejski, Księża Biskupi Fulman, Radoński i Wetmański, ks. prał. Wróblewski z Rzymu i matka Marta Ledóchowska, przełożona Urszulanek. Na powitanie dostojnych gości zebrało się na dworcu kolejowym liczne duchowieństwo z Ich Eksc. Księżmi Biskupami Jasińskim i Kubickim na czele, przedstawiciele władz z p. Wojewodą kieleckim Paciorkowskim, delegacje wojska i organizacyj społecznych.

Po południu dzwony wszystkich kościołów radomskich obwieściły wiernym rozpoczęcie Kongresu. W kościele marjackim nabożeństwo na otwarcie Kongresu odprawi J. E. Ks. Biskup Jasiński, a podniosłe kazanie „O uczcie eucharystycznej na tle wieków" wygłosił J. E. Ks. Biskup Marjan Fulman. Uroczyste otwarcie Kongresu nastąpiło w hali kongresowej o godz. 17-ej. Otwarcia dokonał Pasterz diecezji J. E. Ks. Biskup Wł. Jasiński, poczem sekretarz generalny, ks. prałat Dominik Sciskała odczytał depesze Ojca św. E. J. Ks. Nuncjusz Marmaggi'ego, oraz przedstawił tekst depesz, wysyłanych przez Kongres do Ojca św., Pana Prezydenta Rzplitej, J. Em. Ks. Prymasa Hlonda, Marszałka Piłsudskiego i Premjera Prystora. Po wyborze marszałka Kongresu, którym został szambelan papieski p. Jelski, nastąpiły przemówienia powitalne. Chóry Kongresowe wraz z orkiestrą wykonały „Ojczyznę" F. Nowowiejskiego, który osobiście przybył na Kongres i dnia następnego dał recital organowy. Następnie o. Jan Rostworowski T. J. wygłosił referat n. t. „Rzeczywista obecność Chrystusa Pana w Najświętszym Sakramencie.

Wieczorem w hali kongresowej odbył się wielki koncert religijny w wykonaniu orkiestr, chór alumnów seminarjum duchownego sandomierskiego i chórów kongresowych. W czasie koncertu ks. dr. H. Feicht T. J. wygłosił prelekcję na temat: „Rola i znaczenie muzyki religijnej w ogólnym rozwoju kultury europejskiej". Na koncercie niezwykły podziw wzbudził chór chłopców, śpiewający między innemi „Exulate Deo" Palestriny.

Dnia 28-go, we wtorek rano, we wszystkich świątyniach radomskich zostały odprawione uroczyste nabożeństwa z kazaniami dla poszczególnych organizacyj i stanów. Po nabożeństwach rozpoczęły się obrady sekcyj: kapłańskiej, inteligencji katolickiej, stowarzyszeń chrześcijańskich, mężczyzn, kobiet, młodzieży, misyjnej i t. d. Na każdej sekcji wygłoszono odpowiednie referaty i powzięto stsowne rezolucje. Z referatów największe wrażenie wywarł referat p. inż. Lecha Rościszewskiego z Kielc p. t.„Bankructwo ducha i niewiara przyczyną kryzysu światowego".

O godz. 14-tej prof. Feliks Nowowiejski dał recital organowy z udziałem chórów kongresowych i orkiestry. Wykonano między innemi utworami specjalnie na Kongres radomski skomponowany przez prof. Nowowiejskiego „Hymn Kongresowy".

O godz. 17-ej rozpoczęło się końcowe plenarne posiedzenie Kongresu, podczas którego J. E. Ks. Biskup Tomczyk z Łodzi wygłosił odczyt p. t. „Eucharystja a sprawy społeczne". Po odczytaniu depesz nadesłanych od J. Em. Kardynała Prymasa Hlonda i Polskiej Pielgrzymki Narodowej, powracającej z Kongresu Eucharystycznego w Dublinie, uchwaleniu rezolucyj kongresowych i wysłuchaniu głębokiego referatu prof. Kl. Jędrzejewskiego p. t. „Eucharystja a spokój dusz ludzkich" zabrał głos Dostojny Pasterz diecezji, J. E. Ks. Biskup Jasiński, który na zakończenie tego posiedzenia odebrał od zebranych w hali i na wielkim placu Marjackim wier-

nych w ilości ok. 150 tysięcy osób uroczyste ślubowanie, że Boga przedewszystkiem będą kochać do Sakramentów Świętych jaknajczęściej przystępować, ze współbraćmi swymi żyć w zgodzie i wydajnie pracować dla dobra Kościoła i Narodu polskiego.

Na zakończenie obrad Kongresu przemówił jeszcze marszałek Kongresu, p. szambelan Jelski, poczem obrady zamknięto.

Wieczorem w świątyniach radomskich rozpoczęły się nabożeństwa marjańskie i całonocna adoracja Najśw. Sakramentu.

Następnego dnia, w uroczystość św. Apostołów Piotra i Pawła, odprawił w kościele Marjackim o godz. 8-ej zrana J. E. Ks. Arcybiskup Nowowiejski pontyfikalną Mszę św., po której rozpoczęła się wielka i wspaniała procesja eucharystyczna. Procesja, prowadzona głównemi ulicami miasta przez J. E. Ks. Biskupa Tymienieckiego, skierowała się do placu Jagiellońskiego, gdzie przed ołtarzem zbudowanym staraniem Związku Robotników Chrześcijańskich. J. E. Ksiądz Kardynał Kakowski odprawił uroczystą pontyfikalną Mszę św., a J. E. Ks. Biskup Wetmański wygłosił podniosłe kazanie. W uroczystej procesji i nabożeństwie wzięły udział olbrzymie rzesze wiernych (do 200 tys.). Po nabożeństwie nastąpił wzruszający akt oddania całej diecezji sandomierskiej N. Sercu Jezusa, poczem J. Em. K. Kardynał Al. Kakowski udzielił wszystkim apostolskiego błogosławieństwa. Odśpiewaniem „Te Deum" i „Boże coś Polskę" zakończono Kongres.

Po południu Dostojnicy kościelni zwiedzili Wystawę Kościelną. Wieczorem w hali kongresowej odbyło się przedstawienie misterjum Calderona „Tajemnice Mszy św".

Uroczystości nie zostały niczem zamącone, a potężne wrażenie z tych pięknych dni Kongresu na długo pozostanie w sercach wielotysięcznych rzesz wiernych, biorących w nim udział.

Organizacja Kongresu była pod każdym względem wzorowa. W znacznej mierze przyczyniła się do tego wydatna współpraca władz wojewódzkich, wojskowych i samorządowych. Podkreślić należy ofiarną i bezinteresowną współpracę Polskiego Czerwonego Krzyża, który pod przewodnictwem D-ra Dutkowskiego zorganizował pomoc sanitarną w czasie Kongresu. Radom przez cały czas trwania Kongresu był wspaniale udekorowany zielenią, kwiatami i barwami papieskiemi i narodowemi, a wieczorem tonął w powodzi świateł. Zanotować wypada nadzwyczaj poprawne stanowisko żydów miejscowych, których przedstawiciele uroczyście witali na dworcu J. Em. Ks. Kardynała Kakowskiego i przybyłych na Kongres dostojników kościelnych, a na powitanie Kongresu nadesłali depesze.

Dzień tryumfów sportowych Polski.

Niedziela 19 czerwca przyniosła sportowi polskiemu kilka poważnych sukcesów. Kusociński w Antwerpji zdobył na Nurnim rekord świata na 3.000 m., Weissówna w Łodzi poprawiła swój rekord świata w rzucie dyskiem do 42.43 m., wyścig samochodowy we Lwowie powiódł się doskonale, wyniki piłkarskie były ciekawe i t. p.

Polacy przodują w lekkiej atletyce.

W Antwerpji odbyły się międzynarodowe zawody lekkoatletyczne z udziałem 5 państw: Anglji, Belgji, Holandji, Węgier i Polski. Zdobyły te państa takie ilości punktów: 1) Anglja 32, 2) Polska 31, 3) Holandja 16, 4) Węgry 14 oraz 5) Belgja 5. Polska zatem uzyskała wielce zaszczytne drugie miejsce, zaledwie jeden punkt gorzej od mistrzowskich Anglików, najlepiej spisał się Kusociński, który pobił rekord Nurmiego o 1,6 sek., przechodząc 3.000 m. w doskonałym czasie 8:18.8. Drugi za nim aż o 300 m. Folows (Anglja). Kostrzewski uzyskał na 400 m. przez płotki drugie miejsce i czas 55.8 po Burghley'u również 55.8, a zaledwie kilka centymetrów prędzej. Kiniakowski także zdobył drugie miejsce w biegu na 200 m. w 22.4 sek. po Bergerze (Holandja) 22 sek. Kuźmicki musiał zadowolić się czwartem miejscem na 1.500 m. w 4.08 min. Polska sztafeta 100×400×200×200 zajmuje trzecie miejsce za Holandją i Anglją.

Jędrzejowska zdobyła wicemistrzowstwo Londynu, gdyż w końcówce uległa p. Burke, pomimo zdobycia pierwszego seta. Wynik 1:6, 7:5, 6:4 dla Amerykanki.

Wielkie wyścigi samochodowe we Lwowie.

20 czerwca odbyły się wśród pięknej pogody przy olbrzymim udziale publiczności II-gie międzynarodowe wyścigi samochodów o wielką nagrodę miasta Lwowa, zorganizowane przez Małopolski Klub automobilowy. Wyścig ten z uwagi na udział najwybitniejszych europejskich kierowców wśród których czołowe miejsca zajmują Caracciola i Stuck (obaj Niemcy), skierował na Lwów powszechną uwagę sportowego świata.

W tegorocznych wyścigach reprezentowanych było 6 państw, które zastępowało 14 zawodników Polski, Austrji, Czechosłowacji, Niemiec, Rumunji i Węgier.

Tranzyt sowiecki przez Polskę.

W sowieckich kołach gospodarczych poruszono projekt kierowania przez terytorjum Polski znaczniejszych transportów wywozowych i przywozo-

wych, ze względu na większą dogodność i tańsze taryfy kolei polskich. Szczególnie interesował się tą sprawą przedstawiciel sowieckich organizacyj gospodarczych p. Chazanow, podczas swego pobytu w Polsce.

„Święto Morza".

Ostateczny termin „Święta Morza", które odbędzie się w roku bieżącym w Gdyni został przesunięty na dzień 31 lipca, ze względu na zapowiedziane przybycie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Wychodząc z założenia, że chwila obecna wymaga jednolitej i zdecydowanej opinji społeczeństwa polskiego, jeśli chodzi o całość naszych granic zachodnich, oraz zamanifestowania odwiecznych praw Polski do morza, gwarantujących zachowanie ekonomicznej i politycznej niezależności Państwa, Liga Morska i Kolonjalna dokłada wszelkich starań aby uroczystość ta wypadła jak najokazalej. Na Zjeździe w Gdyni będą reprezentowane oprócz przedstawicieli duchowieństwa, rządu i wojskowości, delegacje organizacyj, związków i stowarzyszeń z całego kraju.

Pragnąc umożliwić jak najszerszym sferom ludności wzięcie udziału w „Święcie Morza" Ministerstwo Komunikacji zdecydowało się udzielać jak najdalej idących zniżek kolejowych, wynoszących po 65% normalnej ceny biletu do Gdyni i z powrotem.

Równocześnie lokalny Komitet powołany przez Oddział Ligi Morskiej i Kolonjalnej w Gdyni zajmie się ułatwieniem pobytu w tym okresie zorganizowanym uczestnikom Święta na wybrzeżu.

Związki, stowarzyszenia i organizacje zainteresowane Świętem Morza zechcą się zwracać się po wszelkie informacje do Biura Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej, Warszawa, Nowy Świat 35, tel. 315-88.

Wyjazd na Olimpjadę.

Dnia 1 lipca wyjechała z Warszawy reprezentacja na Olimpjadę w Los Angelos. Reprezentacja pod przewodnictwem kapitana Barana udała się do Ameryki na pokładzie okrętu „Pułaski".

Sokoli polscy w Pradze Czeskiej.

Na odbywający się w stolicy Czechosłowacji zlot sokoli udała się również delegacja polska. W zlocie uczestniczy również naczelnik Sokolstwa Polskiego hr. Adam Zamoyski, oraz naczelniczka sokoła żeńskiego hr. Zamoyska.

Twórca skautingu w Polsce.

W sierpniu odbędzie się na jeziorach pomorskich wszechświatowy zlot skautów wodnych. Na zlot zadeklarowało swój przyjazd kilkanaście narodów. Zlot zaszczyci swą obecnością generał Sir Robert Baden Powell, sędziwy twórca skautingu. W tym samym czasie w szkole instruktorskiej harcerskiej na Buczu odbędzie się międzynarodowa konferencja instruktorska żeńska, w której uczestniczyć będzie lady Olave Baden-Powell.

Nowy kodeks karny.

Na jesieni, drogą dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej ma być ogłoszony nowy polski kodeks karny.

Konkurs młodego śpiewaka.

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Opery Narodowej zorganizowano w Warszawie konkurs młodego śpiewaka. Na konkurs stawiło się 160 kandydatów, z których odrzucono 60.

Do rozstrzygających rozgrywek stanęło 25 uczestników, z których dwunastu otrzymało nagrody.

Pierwszą nagrodę (1000 zł.) Ministerstwa Oświaty otrzymała p. Lucyna Szczepańska.





KOMITET FUNDUSZU im. STANISŁAWA GAWROŃSKIEGO

ogłasza niniejszem

KONKURS

na pracę, której treść stanowić mają wspomnienia z pobytu na obczyźnie. Konkursem tym pragnie Komitet dać możność wypowiedzenia wrażeń swych i osobistych doświadczeń w zetknięciu z nowem otoczeniem wychodźcom polskim, którzy je bezpośrednio przeżyli. Nie krępując zbytnio autorów tematem pracy, Kmitet podaje następujące podstawowe sprawy, które poruszone być winny. 1) Przyczyny wyjazdu. 2) Pierwsze chwile na obcej ziemi. 3) Warunki pracy. 4) Życie rodzinne. 5) Współżycie z rodakami i z ludnością miejscową. 6) Stan obecny i nadzieje na przyszłość.

Rękopisy winny być czytelnie napisane. Nie należy ich podpisywać tylko zaopatrzeć dowolnie wybranem godłem. Nazwisko autora ma być umieszczone w osobnej, zaklejonej kopercie, załączonej do rękopisu. Na zewnętrznej stronie koperty napisać należy to samo godło, którem zaopatrzony jest rękopis.

Dla trzech najlepszych prac przeznaczone są następujące nagrody: pierwsza w wysokości 300 zł., druga — 200 zł. i trzecia — 100 zł. Prace nagrodzone stają się własnością Komitetu.

Termin nadsyłania prac upływa z końcem lutego 1933 r. Adres Komitetu: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 6 m. 11-a w lokalu Stow. Opieki Polskiej nad rodakami na obczyźnie.

Powołując jak najszersze warstwy wychodźtwa do udziału w konkursie, Komitet wyraża nadzieję, że nadesłane prace stanowić będą cenny przyczynek dla poznania życia polskiego na obczyźnie, które jest przedmiotem coraz żywszego zainteresowania społeczeństwa w kraju, w miarę jak się wzmacniają węzły łączności wzajemnej.

Ś. ✝ P.

JÓZEF WEYSSENHOFF

W chwili, kiedy numer „Wieści z Polski" oddawaliśmy do druku, doszła nas smutna wiadomość o śmierci ś. p. barona Józefa Weyssenhoffa.

W poprzednim numerze podawaliśmy życiorys wielkiego pisarza z okazji Jego jubileuszu i nagrody, którą otrzymał od stolicy.

Ród Weyssenhoffów, pochodzenia niemieckiego, wywodzący się z Inflant polskich, gdzie jego protoplaści, Weissowie, mieli dobra Assern i Weyssenhoff, dał Rzeczypospolitej wielu mężów wielkiej zasługi. Trzej synowie Zacharjasza Weissa, stadhudera w Rydze, służyli w wojsku koronnem. Najstarszy z nich Wilhelm, zmarł w niewoli moskiewskiej (1620) a młodszy, Gotard dokonał bezpotomnie żywota w rodzinnem Assern. Jan, najmłodszy, osiadł ostatecznie w Inflantach i dał początek Weyssenhoffom, którzy przez związki z szlachtą kresową, jak Okszyc-Grabowscy, Rajeccy i Sieleccy, zupełnie się spolonizowali, świecąc później przez pokolenia przykładami cnoty obywatelskiej i patrjotyzmu.

Z tych to Weyssenhoffów, Michał, podkomorzy J. K. M., posłował na sejmy w latach 1754 i 1764, synowie zaś jego, Tadeusz i Franciszek marszałkowali w rzeczyckiem i wiłkomierskiem. Jeden z synów brata podkomorzego, Jana, także Jan, urodzony w Andzelmujży, pow. rzeczyckiego, służył wojskowo od roku 1789, brał udział w kampanjach 1792, 1794, w wojnach napoleońskich i w powstaniu listopadowem. Ciekawy pamiętnik generała Weyssonhoffa opublikował jego wnuk, ś. p. Józef, znakomity pisarz, w „Bibljotece Warszawskiej" (1902 — 1903).

Chluba rodu Weyssenhoffów, Józef bar. Weyssenhoff, urodził się w 1860, kształcił się w czwartem gimnazjum warszawskiem, studjował prawo w Dorpacie. W latach 1891—1896 redagował „Bibljotekę Warszawską". Celną działalność literacką zaczął od przekładów z Heinego (1888), cyklu poezyj „Lyrica" (1894) studjów krytycznych i nowel: „Zaręczyny Jana Bełskiego" i „Za błękitami".

Bratem ś. p. Józefa Weyssenhoffa był znakomity art. malarz, Henryk (1856—1922).

OD REDAKCJI

Jak co roku, z powodu feryj letnich następny numer ukaże się dopiero we wrześniu.

WARUNKI PRENUMERATY: w kraju łącznie z przesyłką pocztową: Rocznie zł. 10, półrocznie zł. 6. Numer pojedyńczy 1
Zagranicą rocznie: w Rumunji 200 lei, w Ameryce 2 dolary, we Francji 30 franków, w Niemczech 5 mk.
W innych krajach równowartość. 2 dol. amerykańskich. prenumerata półroczna połowę.
OGŁOSZENIA: Cała strona za tekstem zł. 300, 1/2 strony zł. 150; 1/4 zł. 80; 1/8 — 40; 1/16 — 20; 1/32 — 10,
ogłoszenia opisowe w tekście redakcyjnym o 50% drożej.
WYDAWCA: Opieka Polska nad Rodakami na obczyźnie. Redaktor: Jadwiga Morawska
Redakcja i Administracja — Warszawa Krakowskie Przedmieście 6 m. 11a tel. 690-54

Salezjańska Szkoła Graficzna. Warszawa, ul. Ks. Siemca 6 Tel. 337-72

30. **Oddział w Obornikach,** pow. obornicki, (Prezes ks. Proboszcz Szymański).
31. " **Ostrowie Wielkopolskim,** pow. ostrowski (Prezes Mecenas Janowski).
32. " **Piłce,** pow. czarnowski. (Prezes ks. Proboszcz Palmowski).
33. " **Pleszewie,** pow. pleszewski. (Prezes ks. Kwiatkowski).
34. " **Poznaniu,** ul. Wały Zygmunta Starego 9.
35. " **Rozdrażewie,** pow. krotoszyński. (Prezes ks. Proboszcz Bronisz).
36. " **Śremie,** pow. śremski. (Prezes ks. Proboszcz Michalski).
37. " **Sulmierzycach,** pow. odolanowski. (Prezes Szymczak).
38. " **Szamotułach,** pow. Szamotulski (Prezes ks. radca Kaźmierski).
39. **Oddział w Śmigle,** pow. śmigielski. (Prezes ks. Proboszcz Nowak).
40. " **Ujściu,** pow. chodziecki. (Prezes Lewandowski)
41. " **Wągrówcu,** pow. wągrówiecki. (Prezes ks. Wróblewski).
42. " **Wieleniu nad Notecią,** pow. chodziecki. (Prezes ks. Proboszcz Woschke).
43. " **Wolsztynie,** pow. wolsztyński. (Prezes B. Kurpisz).
44. " **Wrześni,** pow. wrzesiński. (Prezes ks. Dziekan Fierek).
45. " **Wysocku Wielkim,** pow. ostrowski. (Prezes ks. dr. Kąkolewski).
46. " **Zaniemyślu,** pow. średzki. (Prezes ks. Proboszcz Nowrowski).
47. " **Zbąszyniu,** pow., nowotomyski. (Prezes ks. Proboszcz Płotka).

SPIS OPIEK POLSKICH WE FRANCJI:

w **Paryżu,** II rue l'Interne Loeb. Paris XIII
w **Amiens,** (Somme) 27, rue de Cerisy
w **Caen** (Calvados) II, rue Nationale
w **La Madeleine les Lille** (Nord) 119, Bd. de la Republique
w **Nancy,** (M. M.) 16, a. Passage de la Rame
w **Roubaix,** 66 rue d'Inkermann
w **Toulouse,** (H. Garonne) 25, rue Bayard.

OPIEKA POLSKA W NIEMCZECH

(Polnischer Hilfsverein) Berlin, Kurfürstenstrasse 137

SALEZJAŃSKA
SZKOŁA
GRAFICZNA

Warszawa, ks. Siemca 6
Telefon 337-72